

# POLSKA WALCZĄCA

## ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 24—31-go grudnia 1942r.

Rok IV. Nr. 52—53

# TO GWIAZDA NASZEGO ZBAWIENIA

Święta Bożego Narodzenia to właściwie wigilia. Nie twarda łacińska wigilia, ale miękka słowiańska wigilia. Ona jest istotą świąt Bożego Narodzenia. Jest to chwila oczekiwania — chwila nadziei, a chwile pragnień i nadziei są zawsze piękniejsze od ich spełnienia, albowiem spodziewamy się wiele, a spełnia nam się mało.

Kiedy Chrystus miał przyjść na świat — miało się "pod koniec starożytnemu światu." Bogi i ludzie szaleli. Wyczerpały się zasoby wiary w cokolwiek i powstawało pragnienie nowego świata. Ludzkość oczekiwała nowych prawd, "dobrej nowiny." Czekal zwłaszcza człowiek niewolny, uciśniony, w dreszczącej rozpacz, czy może się skończyć jego niewola, czekał tak długo, że stracił nadzieję. Aż nagle spojrzął w niebo i zawołał: "Jakaż to gwiazda błyszczy na wschodzie," a chór mędrców odpowiedział: "To gwiazda Twego zbawienia."

Zeszło z nieba dla ludzi zbawienie, kiedy w stajni Betlejemskiej rodził się Bóg-Człowiek. Z tą chwilą wszyscy stali się ludźmi. Przynosił on z sobą tę "dobrą nowinę," że każdy ma boską duszę w sobie, że ludzie są równi, że niewolnik jest człowiekiem — całą ludzkość podniósł bliżej nieba.

Od blisko dwóch tysięcy lat w noc wigilijną ten dreszcz oczekiwania przenika świat chrześcijański. W katolickiej Polsce ludzie wychodzą z domów, patrzą w niebo i szukają gwiazdy betlejemskiej, "bo im ta gwiazda świeci zbawieniem, bo im ogłasza cud cudów."

Ale nadzieje nie spełniają się rychło. Rodzi się więc Chrystus po raz tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi, aby przypomnieć słowa: "Pokój ludziom dobrej woli." Słowa zapomniane, słowa zgłuszone hukami bomb spadających na miasta, trzaskiem rozrywanych torpedami okrętów, rykiem armat i jękiem mordowanej ludzkości.

REDAKCJA "POLSKI WALCZĄCEJ" ŁĄCZY SIĘ Z CZYTELNIKAMI, WSPÓLPRACOWNIKAMI, PRZYJACIÓŁMI, GDZIEKOLWIEK SĄ, W SERDECZNEJ WSPÓLNOCIE, W JEDNYM, NAJGORĘTSZYM ŻYCZENIU: OBY ZA ROK W WOLNEJ POLSCE

Głuche są na te słowa uszy milionów zbrodniarzy, którzy wyruszyli na podbój świata, aby go zamienić w więzienie, z ludzi porobić swoich niewolników, a opornych wytepić.

A na szlaku tego zbrodniczego pochodu pierwszy zdeptany jest nasz Kraj. Przeszły już trzy lata, kiedy nas zbrodnia napastników rozmiotła po świecie, a "Kraj zmieniła w gruzów stos."

Z tym większą potrzebą nadziei wychodzimy z domów naszych przygodnych, z namiotów żołnierskich Afryki i Azji, stajemy na gruzach naszych dawnych domów i patrzymy w niebo, kiedy ta gwiazda zaświeci nam zbawieniem z niewoli. Kiedy nam wróci wolność? Dlaczego dane było tak krótkie życie naszej niepodległości? Dlaczego przeżywamy upadek tak głęboki, tak straszny? Dlaczego jesteśmy rozproszeni po wszystkich częściach świata, dlaczego od trzech lat płacimy życiem, zdrowiem, niewolą naszych najlepszych?

A kiedy od tych pytań serce zaczyna z bólu zamierać, a rozum wątpić — wtedy niezłomny duch polskiego męstwa każe nam spojrzeć w przeszłość. Kiedyż to mieliśmy jasne chwile wigilijne i ile ich było?

Piastowie, skromni książęta słowiańscy, wyrąbawali sobie rok po roku Polskę w nieprzerwanej walce z tym samym wro-

giem, który od tysiąca lat do dziś dnia nas wytepić pragnie. A od ostatnich Jagiellonów, za królów elekcyjnych rosło niebezpieczeństwo wschodnie i trwało do końca Rzeczypospolitej i po jej końcu. Na dodatek w ciągu wieków nie było ani dnia, ani godziny spokoju od granicy tureckiej, włoskiej, szwedzkiej.

W którym że roku wille nasze były spokojne — a przetrwaliśmy.

A ta najpiękniejsza polska wigilia w Częstochowie, podczas szwedzkiego oblężenia czy nie daje ona tej pewności, że przetrwamy wszystko?

Bez tej pewności, bez wiary w tę pewność — nie moglibyśmy tak cierpieć i tak umierać.

Z tą to wiarą płyną nasi żołnierze po morzach lodowatych i morzach ciepłych, lecą w powietrzu na wysokościach, na których brak powietrza, wdychają żar i piasek pustyni afrykańskich, a motory ich maszyn w wodzie, ponad wodą, w powietrzu, na ziemi grają im pieśń z 63 roku: "Wzgardźmy życiem tym marnie pędzonym, nam pioruny niech grają i gromy."

Ale kiedy krwawa nasza ofiara się spełni i ze wszystkich stron świata spływać będą do Polski żołnierze i męczennicy, czy będziemy umieli żyć? Czy też każde pokolenie musi wołać do Boga: "Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie"? I kiedy Bóg wolność nam przywróci ra-

czy, czy będziemy mieli prawo modlić się — "Ojczyznę wolną racz zachować Panie"?

Czy będziemy umieli wolność tę zachować? Obiecujemy sobie Polskę lepszą, a czy my będziemy lepsi — gdyż bez tego i Polski lepszej być nie może.

Czy ciągle ma być Polska walcząca i ciągle cierpiąca?

Jaką damy sobie samym na to odpowiedź?

Vigilia — oznacza czuwanie. Chwile nasze przed nowym narodzeniem Polski są wigilią — nieustannym czuowaniem.

Czuwa żołnierz — a jego męstwo budzi podziw świata.

Czuwa Kraj — a jego cierpieniem współczuje cały świat.

Ale musi czuwać i ten, co nie jest ani żołnierzem, ani nie jest w Kraju. Czuwać nad tym, aby słowem lub czynem przyczyniał się do powstania Polski.

Gdy przyjdziemy do Polski będziemy musieli zdawać sprawozdanie ze słów naszych i czynów i powiedzieć jak służyliśmy Ojczyźnie. Niekoniecznie przed jakimiś trybunałami — wystarczy, gdy trzeba będzie spotkać się z przyjaciółmi, z krewnymi i na ich pytania odpowiedzieć.

Jesteśmy już czwarty rok na wygnaniu. O nic tak Boga nie prosimy jak o powrót do wolnej Polski.

Musimy być jednak na ten powrót przygotowani. Musimy przemyśleć naszą przeszłość i postawić sobie przed oczyma obraz przyszłych naszych obowiązków w Polsce. Obowiązków — nie praw.

Inaczej powrót może nas zastać nieprzygotowanych.

Czuwać więc trzeba, albowiem ten czas, który teraz spędzamy jest naszą wigilią przed dniem narodzenia Polski.

STANISŁAW SZURLEJ

linoryt Adama Kossowskiego



# Wigilia 1940 w Rosji

Od tygodnia Tereska i Wiesio są w okropnym podnieceniu— zbliża się Wigilia! Gdyby ich ktoś zapytał, co to jest Wigilia, nie mogłyby na to odpowiedzieć, bo mają po niecałe trzy lata a są już rok na zesłaniu. Wigilia zaś w 1939— nie było. Wiedzą tylko, że to coś bardzo pięknego i że dzieci są wtedy bardzo szczęśliwe. Poza tym wyobrażają sobie, że ich biedne wygnańcze życie będzie właśnie w tym dniu rozjaśnione jakimś cudem. Bez przerwy zanudają swe matki pytaniami.

Straszne są te pytania dla matek, którym serce się kraje, bo wiedzą, że nadchodząca Wigilia będzie dniem najsmutniejszym z smutnych. Gdyby nawet przynieść choinkę na plecach z lasu, to czym ją przybrać, jeśli nawet kolorowej bibułki nie ma? Gdzie ją postawić w brudnym, ciemnym, przeludnionym baraku, w którym w dodatku piec się zepsuł i woda zamarała w wiadrze? Co położyć pod choinkę, gdy nie ma pieniędzy nawet na chleb?

Wszystkie te smutne myśli nie mają jednak dostępu do Tereski, która wierzy, że cud będzie i czeka pełna ufności. Mimo swoich trzech lat ma poważne doświadczenia życiowe i wie, że jeżeli się bardzo wierzy, to jakoś się najniemożliwsze nawet rzeczy—spełniają.

—“Mamusiu dziś jest w stołówce kasza jaglana z cukrem—krzyczy na przykład pewnego dnia podniecona niezwykłym zdarzeniem—kup mi, przecież tylko chlebek czarny dzisiaj jadłam”.

—“Jakże ci kupić kaszę Teresko—odpowiada smutno matka—kiedy nie mam na chleb. Przecież jesteś mądra dziewczynka i zawsze wszystko rozumiesz”.

Tereska rzeczywiście rozumie i siada smutno z pustym brzuszkiem na progu baraku i patrzy jak ludzie wracają ze stołówek z dymiącymi miseczkami. W głębi swego serduszka nie wierzy, że może ją spotkać taka krzywda, iż nie zje słodkiej kaszy, której prawie nigdy nie ma w stołówce obozu. Czeka więc pełna napięcia na Opatrzność, która dotąd nigdy jej nie zawiodła. I cud się staje, bo Tereska nagle się zrywa i wpada do matki:

—“Mamusiu, mamusiu Pani Elzunia idzie i niesie w ręku miseczkę!”—Pani Elzunia jest takim aniołem stróżem, który zawsze jakoś w ostatniej chwili pomaga. Jest zapewne narzędziem Pana Boga, który nie opuszcza głodnych dzieci. Więc jakże Tereska nie ma wierzyć, że cud się stanie i że Wigilia będzie.

Parę dni przed świętami rozchodzi się fantastyczna plotka po obozie, że państwo Tomaszewscy urządzają wigilię dla dzieci, które są same z matkami. Plotka jest tak fantastyczna, że nikt ze starszych w nią nie wierzy. Wierzą tylko dzieci, dla których nie ma nic niemożliwego na świecie. Starsi zaobserwowali tylko, że znikły dwie najlepsze suknie pani Tomaszewskiej i jej córki Zosi i że przez cały dzień do baraku, w którym Tomaszewscy mieszkają, przychodzą kolchoźnicy z jakimś tajemniczymi zawiniątkami.

Wreszcie nadszedł dzień wigilijny. Zaczął się, jak wszystkie inne dni gongiem wyrwywającym wszystkich ze snu do pracy w lesie. Jak co dzień trzeba było w ciemnościach ubierać się, by potem z łopata w ręku torować sobie drogę przez zasypane śniegiem drzwi do zamrażniętej studni.

Tęgo rana matka ubierając się po omacku, unikała widoku Tereski. Nie chciała, by Tereska widziała łzy w jej oczach.

Tymczasem Tereska już nie śpi, ale udaje sen, ma dobre serduszko i wie, że smutnym ludziom nie trzeba przeszkadzać. Zresztą nie chce jej się nosa z pod szmat wystawiać, bo jest tak zimno, że nawet wewnętrzne ściany baraku pokryte są lodem. Wreszcie nie wytrzymała:

—“Dziś Wigilia mamusiu”—mówi nieśmiało, bo wie, że nie powinna o tym mówić.

—“Tak córeczko, ale zdaje mi się, że byłoby lepiej, gdybyś o tym zapomniiała. Poczekaś do przyszłego roku—na przyszły rok będziemy może już razem z tatusem i sprawimy cudowną Wigilię”—mówi matka, bo chce Tereskę pocieszyć.

Tereska kiwa głową z uprzejmości, ale myśli sobie swoje i wcale nie jest smutna. W ogóle nie wie, co to jest Wigilia, wie tylko, że to jest jakiś cud a cud wszędzie może ją osiągnąć. Do cudu zaś niekoniecznie potrzeba zaraz Tatusia. W ogóle wie swoje, i to także, że starsi nie umieją po prostu myśleć, są smutni, a najważniejsze, nie umieją czekać.

Tęgo dnia brygada kobieca złożona z samych samotnych kobiet szła w milczeniu zwykłe swoje siedem kilometrów do miejsca pracy. Tak jak codzień zawiłe ścieżki poprzez dziką, popłataną puszcę i zasypane śniegiem dłuższe w nieskończoność. Tylko zwykle dużo było tematu do rozmów, przeważnie wspomnienia. Dziś jednak wszystkie milczały. Tylko właśnie dziś zapach sosenu i jodeł wydawał się uroczyście, jakby kadzidlany. Mimo że sosny tamtejsze niczym nie przypominają naszych, przez swój głęboki leśny zapach stawały się duchem bliższe, przypominały dom.

Bez wytchnienia pracowała brygada kobieca do zmroku, byle nie myśleć, byle zmęczyć się do upadłego. Nieunikniony zmierzch jednak zapadał i nieuchronnie zbliżała się godzina Wigilii, godzina najjaśniejszych wspomnień na wygnaniu.

A jednak cud się stał. Wigilia u Tomaszewskich odbyła się, choć z wielkimi przeszkodami. Naj-

pierw w baraku po południu zmarła samotna staruszka, która bardzo na śmierć czekała, a nie miała nikogo w obozie, ani w Rosji. Umarła przed wieczorem, uśmiechnięta, wdzięczna, że ją Pan Bóg wybawia od strasznej, bo beznadziejnej samotności starych ludzi i od jeszcze gorszego: od samotności wigilijnego wieczoru.

Leżała więc teraz szczęśliwa na dużej sali baraku oświetlonego mizernie sznurkami świecami w pudełkach z naftą. Przykryta jedynym prześcieradłem, tworzyła w ciemnościach rażącą, jasną plamę. Dzieci przez cały dzień pozostawione sobie, siłą faktu asystowały tej śmierci, kręciły się po izbie z szeroko otwartymi oczyma, niespokojne, przynębione, niezapamiętane już uroczystego dnia. Nawet Tereska, niepoprawna optymistka, siedziała skulona w kątku.

Na stojących rzędem przyczach drewnianych, przykrytych nieprawdopodobnymi szmatami, leżały lub siedziały tonące w mroku postacie w przedziwnych strojach. W samym środku grupy ludzkiej można było zauważyć panią w ongiś błękitnym jedwabnym szlafroku z trenem, w zarzuconej na głowę, podartej flanelowej chustce, z nogami owiniętymi w strzępy worków, przyodzianymi w słomiane kapcie. Modliła się gorąco.

Ze wszystkich stron dużej ciemnej sali słychać było wes-

technienia wyrwywające się mimo woli. Zza okien, wycie lasu kołyszącego się wściekle w zrywającej się grudniowej zawierusze syberyjskiej pogłębiało smutek opuszczenia.

Nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich zasypany śniegiem Tomaszewski. Jednym spojreniem objął salę, na sekundę wzrok zatrzymał na leżącym cicho trupie, i jakby nie się nie stało, krzyknął:

—“Wiesiu! Teresko! Zosiu! Basiu!—Jest Wigilia czy nie ma Wigilii? Jak długo mamy na was czekać?”

Głos odbił się o przeciwległą ścianę, przekończył na drugą, i zawisł nad głowkami dzieci. Świat uległ nagłemu przeobrażeniu. Wszystko zapadło się w nicłość.

—“Mamusiu mamusiu, prędko, chodźmy! Mamusiu słyszysz? Wigilia! A widzisz? Prędko, prędko!”

Ciężko było przedrzeć się w śnieżycę tak gęstą, że zasłaniającą jakby gęstym welonem parę metrów drogi do baraku Tomaszewskich. Stanieliśmy wraz z dziećmi olśnieni w drzwiach nie wierząc własnym oczom. Izba Tomaszewskich oświetlona była prawie jasno licznymi puszkami z naftą. Sznurki kopciły jak zawsze, lecz nie było tego zwykłego smutnego mroku, który panował we wszystkich barakach.

Na środku izby, zbudowany misternie z walizek i desek stał

## Wigilia na internowaniu

Dawno zaczęła się mroźna, północna zima. Śnieg grubą warstwą okrył ziemię, olbrzymie lasy i małe, drewniane domki ludzkich osiedli. Zrobiło się wprawdzie jaśniej, ale jeszcze monotonniej, jeszcze smutniej, niż jesienią. Ze smutkiem przysłała nowa fala tęsknoty. Za gardło chwyciła tęsknica poprzedniego pokolenia, ludzi z Piątej Syberyjskiej i Murmańczyków. Żywo stanęły przed oczyma tamte ośnieżone postacie, zjawiała się Baska, biała niedźwiedzica Małaczewskiego. Chyba nigdzie tęsknota nie jest tak wielka, tak bolesna, tak nieodparta, jak na północy wśród rozległych śniegów i nieprzebranych przestrzeni.

Nadeszła druga Wigilia z daleka od swoich.

Usiedliśmy przy długim, skromnie zastawionym stole. Było nas zaledwie kilkunastu, rzuconych zawieruchą wojenną aż tu, pod północne koło podbiegunowe. Wszystkie zwyczajne wigilijne musiały być jak najciszej zachowane. Nie zabrakło więc siana pod białym obrusem, na późniejszego wędrowca czekało puste nakrycie, nawet potrawy były tradycyjne, choć w tym wypadku dawał się we znaki brak polskiej gosposi.

Nasze miejscowe gospodynie bardzo opernie ustosunkowały się do śmiałych poczynań kulinarnych Prezesa i Niedźwiadka. Z niedowierzaniem kręciły głowami nad “zupą z buraków” i “uszkami”, a już zupełnie nie mogły nabrać przekonania do “szczupaka po żydowsku.” Zdziwienie wywoływały chirurgiczne operacje zdejmowania skóry, przygotowanie farszu również zostało przyjęte, co najmniej niechętnie, a ogólna ocena naszych usiłowań była taka:

—Po co się właściwie męczyć nad spreparowaniem tej nadziewanej ryby, kiedy i tak jest jej nie można. Szczupak jest rybą nieczystą, ponieważ się żywi innymi rybami, to też po jego zjedzeniu łatwo zachorować.

Druga gospośnia dodała:

—A zresztą po co tyle z tą rybą zachodu? Czyż nie lepiej zwyczajnie ugotować, niż patroszyć, nadziewać, układać na półmisku, przykładać nawet z powrotem odciętą głowę?!

Na takie uwagi nie mogliśmy znaleźć odpowiedzi. Kto zresztą kiedy kobietę przegadał, szczególnie w jej rodzinnym języku, szczytując się największą ilością przypadków z pośród wszystkich języków europejskich, mianoście 15-tu (słownie piętnastu!). Aha! Zapomniałem o dwóch jeszcze, wychodzących wprawdzie z użycia, ale jeszcze w mowie

spotykanych. Biedny szczupak leżał więc smutnie na półmisku z okiem zamglonym i jodlową gałązką w gębie, czekając na okazję do poprawienia swej reputacji. Czy tylko aby bojaźliwe, a niewierne istoty odważa się skosztować nieznannej potrawy?

Na Gwiazdkę każdy dostał całę mnóstwo podarków od swych znajomych. Gospodarze nasi pragnęli, aby każdy czuł się w ich kraju jak najlepiej, aby zapomniał o swej tęsknocie do dalekiej Polski. Upominki złożone pod choinką były różne. Książki, pamiętkowe drobiazgi, kalendaryki, bielizna. Pewien fabrykant przysłał cały transport ciepłych koszul, swetrów, szalików, koszul i spodni narciarskich, organizacja kobiet mieszcowskich ofiarowała każdemu parę grubych narciarskich skarpet, tkanych wieczorami na drutach.

Wzruszający dowód przyjaźni dały dwie panienki z pobliskiego miasta, przysyłając całą wspaniałą szynkę z renifera (bez mięsnych kuponów!). Było z czego robić bigos na świąteczny obiad. Egzotyczny renifer okazał się doskonałą podporą polskiej potrawy.

W czasie wieczery wigilijnej zdarzył się wypadek zupełnie nieoczekiwany. Właśnie spożyliśmy wyżej wymienionego szczupaka, który nawiasem mówiąc okazał się doskonały, gdy postyszeliśmy czyjeś kroki za drzwiami. Po chwili rozległo się nieśmiałe pukanie. Na nasze zaproszenie drzwi się otworzyły i do izby wszedł stary miejscowy kowal. Wracał prosto z pracy. Miał niewymyte ręce i brudne, usmolone policzki. Z zakłopotaniem w głosie powiedział: “Dobrych Świąt,” a gdy posadziliśmy go na wolnym krześle, zakłopotanie jeszcze wzrosło. Dopiero po zorientowaniu się, że musi pozostać z nami, opowiadał wzruszenie i zaczął usprawiedliwiać swe przybycie:

—Przyszedłem tutaj do was, chłopcy, —mówił—ponieważ czułem, że muszę złożyć wam życzenia świąteczne nie tylko jako naszym gościom, ale jako synom wielkiego bohaterkiego narodu. Napisałem dla was na pamiętkę powinszowanie.

To mówiąc wyciągnął z kieszeni zwiniętą w rulon kartkę papieru, na której czerniły się linijki pisma skreślonego niewprawną, zgrubiałą od pracy ręką:

Wesołych Świąt i szczęścia na rok 1941! Tęgo zycze Wam wszystkim polskiemu emigrantom, dzielnyemu żołnierzom—rycerzom.

Na pamiętkę Kalewali.\* Układając to powinszowanie Swoje życzenia poświęcam

Wam, synowie Piłsudskiego, Rycerze ojczyzny, Lotnicy pędem zbratani

W najwyższym podniebnym locie. Rej z Nagłowic, Kochanowski, Krasiński oraz Sienkiewicz— Te imiona zapisał Wielką księgę polskiej chwały.

Ponad Polską teraz chmury, Rzuca smutku cień żaloba; Lecz perlistych też strumienie W szczerze perły też zamieni.

Wtedy z ojców, matek płaczu Wzejdzie zielen na mogile, Gdy Szopena pieśń zadzwoni Odpowiedzą świątyni dzwony. Już minęło smutków tyle! Biegnie k'niebu dziękczynienie. Jeszcze przyjdzie dzień radości, Polsce życie znów powróci. Słońce blaskiem swej jutrzenki Będzie zdoła lasy, góry I krwawą polę przesiąknięte.

Dedykowane walczącym za wolność Polski.

Napisał na pamiętkę stary kowal wioskowy X. /tu następuje podpis, który musi pozostać tajemnicą./

W.Y. na Wigilię Bożego Narodzenia, 24.XII.1940.

Zdumieliśmy się. Kto się spodziewał, że w tym wiejskim kowalu Polska ma takiego przyjaciela! I skąd taka nieprzeciętna erudycja w sprawach polskich, a szczególnie polskiej literatury? Dowiedzieliśmy się, że kowal jest samoukiem. Polską się interesował z powodu podobieństwa losów w ostatnich czasach i z powodu zbieżności interesów obu krajów, leżących na pograniczu Wschodu i Zachodu. Wreszcie uderzyły go nieprzeciętnie duże sukcesy lotników i marynarzy polskich i wreszcie nieugiętość armii, odradzającej się wciąż, jak Feniks z popiołów. Z uznaniem wyrażał się o nieugiętej woli walki gen. Sikorskiego, przeciwstawiając temu niezwykłemu “uporowi” oportunistom Pétain'a i quislingów.

Od tego momentu kowal stał się sensacją Wigilii i najmiłszym naszym gościem, mimo brudnych rąk i usmolonych policzków. Policzków, na które teraz padały łzy szczęścia z oczu, widzących naszą nieklamana radość.

Gdy Boże Narodzenie minęło kowal pozostał naszym przyjacielem. Odwiedzaliśmy jego dom i kuźnię, aby podzielić się troskami i radościami, pomówić o sytuacji wojennej. Wreszcie przyszła inwazja niemiecka i trzeba było się rozstać.

Co teraz dzieje się z dalekim serdecznym przyjacielem Polski? Czy dożyje czasu, gdy “przyjdzie dzień radości”? I czy dzień ten będzie również dniem radości dla jego północnej ojczyzny?

\* “Kalewala” — narodowy epos fiński.

ANDRZEJ BOGUSŁAWSKI

stół, przykryty dwoma ręcznikami. Na środku, na prawdziwym talerzu leżał malusiński oplatek, który dziwnymi drogami tutaj przywędrował. Ktoś nieznanemu komuś nieznanej, do jakiegoś obozu przysłał oplatki. Szczęśliwy właściciel zaraz pomyślał o swych współtowarzyszach w innych obozach i na los szczęścia rozsyłał kawałki oplatka, wielkości naparstka, pod cudem uzyskane adresy.

Cała izba tonęła w mgłę pary, która wdziarała się przez nieszczelne ściany i drzwi do przegrzanego pokoju. W kącie pokoju stała choinka przybrana ozdobami z gazety rosyjskiej z trudem zdobytej. Ozdoby pomalowano czerwoną i niebieską kredką. Cała choinka była obsypana watą wyprutą z fufajek, niezbyt czystą, lecz olśnioną oczy nie widziała brudu. Zamiast anielskich włosów hojna pani Tomaszewska poświęciła ostatnie dwie szpulki białego jedwabiu, którymi obsypała drzewko. Na samym szczycie choinki Matka Boska Ostrobramska patrzyła rzewnie na dzieci, stojące z otwartymi buziami.

Tereska nie mogła wydobyć głosu ze wzruszenia.

—“Mamusiu czy to aniołek przyniósł tę choinkę? Jaka piękna! A może tatuś nam ją przysłał?”

Tereska jest skłonna do fantazji, podczas gdy jej przyjaciel Wiesio, syn stolarza, swym realnym punktem widzenia prostuje zbyt zawiłe ścieżki myślowe swaj przyjaciółki.

—“Durna—mruczy z pogardą—aniołek z Polski przynosi choinkę, a ona zaraz o swym tatusi!...”

Niebawem zaczęła się orgia potraw. Najprawdziwszy czerwony barszcz, bez tłuszczu oczywicie, ale jakże cudowny! Pierogi z czarnej maki z kapustą, twarde jak kamień, lecz lepsze od homara w majonezie (po cztery dla dzieci, po trzy dla dorosłych), w końcu deser nad deserami: na kawałkach gazety trochę miążskiego cukru!

Po uczcie zaczęło się śpiewanie koled! Tereska i Wiesio odzwyczajeni od jedzenia, odcieźli ciepłem i ilością potraw, objęci wpeł, niemal usypiają słuchając śpiewu. Pewno zdaje się im, że są w raju, w którym Pan Bóg sam, własnoręcznie, to wszystko dla nich przygotował.

Piosenka szła za piosenką. Trochę lez... trochę wspomnień... wiele gorącej wiary na przyszłość. Nie ma już samotności, jest jedna wspólna myśl i tyle dobrych tęsknych życzeń płynię do nas z dalekiego świata.

“Pod Krakowem czarna rola ja jej oral nie będę”

Śpiewa pięknym basem Tomaszewski—

“Wsiądź sobie na swego konisia i na wojnę pojedaj.”

Panie podoficerze Tomaszewski, wiele miesięcy potem wsiadł pan na konia i pojechał pan na wojnę, zostawiając swą ukochaną rodzinę na łasce losu. Nie wiem gdzie pana koń zawiódł i gdzie pana rodzina jest dzisiaj, ale jeśli jest pan w Rosji, ma pan smutną Wigilię, bo napewno zabrakło panu już dawno sukien na zamianę na czarną makę i cukier dla obcych dzieci. A może z kolei znalazł się ktoś kto zdjął ze siebie koszulę, by pańskim dzieciom sprawić święta?

Dziś Tereska zasiadzie do prawdziwej Wigilii u boku swego ojca. Objęła pół świata, bez zmęczenia, bez zdziwienia. Kiedy po długich miesiącach jazdy przybiła do brzegów Wielkiej Brytanii zapytała tylko:

—“Już tak prędko?”

Bo Tereska nauczyła się w swym krótkim, twardym życiu cierpliwości. Nie jest zdziwiona cudem odzyskania swego ojca, bo uważała to zawsze za pewnik, a cud jest dla niej chlebem codziennym, a wiara najsilniejszą taktyką wojenną przeciw wszystkiemu co boli, gryzie, co smutne i ciemne.

Tak jak Tereska przez wszystkie lata wygnania wlepiła oczy pełne oczekiwania w pierwszą gwiazdę na niebie, dziś na tej gwiazdzie spotkają się miliony oczu małych i dużych. Na niskim niebosklonie, ciężkim od olbrzymich gwiazd północy, zawisną oczy ciężkie tęsknotą i zamglone samotnością. Wszędzie po barakach i lepiankach, po izbach chat kolchoznych, po całej rozległej Rosji, drobne małeńkie ciałka, szukając ciepła, przytulią się nocą do swych matek i będą snić o Wigilii, która nieomylnie nadejść musi.

OLGA LISIEWICZ

# Geniusz wojskowy

## II.—Strategia i taktyka w ciągu dziejów\*

Hannibala należy wysoko cenić zarówno jako stratega jak i taktyka. Jego zwycięstwo pod Cannae stało się wzorem i symbolem dla największego wojennego narodu czasów współczesnych. Posiadał on też prawdopodobnie w wysokim stopniu kunszt szkolenia armii, gdyż Kartagińczycy nie byli urodzonymi żołnierzami. Zdradził go i zniszczył w końcu jego własny rząd, jednak trudno nam na odległość stwierdzić ile winy ponosi sam Hannibal. Prowadził niepokonany wojnę przez wiele lat przeciw przeważającym siłom nieprzyjacielskim. Choć więc w końcu przegrał, należy mu się poczesne miejsce na każdej liście.

Scipio /według Liddell Harta "większy, niż Napoleon"/ także stoi wysoko. Hannibal, jak to Liddell Hart podniósł słusznie, zaćmił go w wyobraźni ludzkiej głównie z powodu odpornej postawy w niepowodzeniu; jednak w rzemiośle wojskowym Scipio był mu co najmniej równy i na liście sławy wojskowej stoi tuż obok Hannibala.

Drugi rzymski kandydat obok Scipiona — Juliusz Caesar, jest mniej przekonujący. Jego wczesne kampanie były wojnami generała sepojów\*\* /jak Napoleon określał Wellingtona/ przeciwko niecywilizowanym przeciwnikom, a później zwracały się przeciwko własnym rodakom, którzy nie zawsze szczerze mu się przeciwstawiali. Wybitny żołnierz w ataku i w obronie. Pisarz nudnych i przydługich raportów wojskowych. Należy mu się moim zdaniem, miejsce dalsze, za Hannibalem i Scipionem.

Naszym następnym kandydatem jest Aleksander Wielki, osobieństwo młodzieńczej przygody i odwagi. Został on armię gotową i wywieszoną, był swym własnym panem i nie odpowiadał wobec żadnego rządu. Wszystko układał mu się zbyt łatwo i nie przeszedł próby niepowodzenia. Błyszczy meteor na nieboskronie wojskowym. Należy mu się moim zdaniem miejsce poniżej bardziej trwałych gwiazd.

Belisarius jest moim szczególnym ulubieńcem. Miał on więcej wyobraźni i oryginalności, niż wszyscy inni dowódcy, o których czytałem. Wciąż wymyślał sposoby, aby wroga przechytrzyć i osiągnąć swój cel nie tylko walką, ale i fortelem. Był jednak równocześnie wielkim wojownikiem i umiał wyszkolić do walki swych ludzi. Służył swemu niewdzięcznemu panu—Justynianowi—lojalnie i dyskretnie, i niewątpliwie umiał także obehodzić się ze sprzymierzeńcami. Był to dowódca wielki pod każdym względem, mężnie znoszący przeciwnictwa losu. Powinien zająć wysokie miejsce na naszej liście, mimo iż Napoleon nie znał go nawet z imienia.

Ponieważ pomijam Dżingis Chana i Sabutaję, a żaden żołnierz europejski średniowiecza nie wybił się ponad przeciętność, powstaje wielka przerwa aż do Fryderyka Wielkiego. Jest to wojownik wielki—na groźny, skuteczny, pruski sposób. Podobnie jak Aleksander odziedziczył gotową armię i organizację wojskową, jednak stosowaną przez niego metoda taktyczna obejścia /oblique/ była jego własnym pomysłem, wzorowanym prawdopodobnie na Epaminondasie. Jak Aleksander, natychmiast zaczął powiększać swój stan posiadania kosztem sąsiadów. Jednak podczas gdy Aleksander wniósł jakiś wiew młodzieńczości, rycerskości i przygody, Fryderyk był tylko zwykłym pruskim rabusem. Jako żołnierzowi należy mu się jednak dobre miejsce. Jego polityka ataku zawsze, wszędzie i za wszelką cenę stała się tradycją w jego narodzie.

Następny z kolei to Cromwell, który przekonał się o swych zdolnościach wojskowych, gdy w czterdziestym roku życia rozpoczął karierę żołnierską. Wycwiczył i natchnął swą Nową Armię, jednak jego taktyka nie była ani nowa ani szczególnie świetna. Mam wrażenie, że Liddell Hart w swej książce "On the Indirect Approach" dopatruje się poważniejszych zamiarów w strategii Cromwella niż sam Cromwell. Pod Dunbar jego przeciwnik Leslie niewątpliwie podszedł go i Cromwell uratował się tylko dzięki błędowi taktycznym tego generała. Ogól-

nie rzecz biorąc, nie sądzę, aby Cromwellowi należało się miejsce na naszej liście. Być może pochodzi to stąd, iż nie miał sposobności do wykazania swych zalet na szerszym polu.

Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że Marlborough posiada najwyższy tytuł do jak największej chwały wojennej. Może poszczycić się zarówno jakością, jak i wynikami. Był niezrównanym taktykiem i strategiem. Któż inny potrafiłby tak ugłaskać cierpliwością i wyrozumiałością kłopotliwych holenderskich sprzymierzeńców, lub przekonać swój rząd, że należy dalej prowadzić niepopularną wojnę? Nie wymyślił—to prawda—żadnej nowej taktyki, jednak jego ruchy na polu bitwy cechuje zawsze zdrowy rozsądek, energia i śmiałość. Sądzę, że nie ulega wątpliwości, iż był on największym wodzem, jakiego wydała rasa brytyjska i ma prawo do tego, aby go uważać za najzdolniejszego na świecie.

Przechodzimy do Napoleona, którego wielu usadowiłoby bez wahania na pierwszym miejscu w wojskowej Walhalli. Nie mogę

go jednak postawić tak wysoko, jak Marlborough i niektórych innych. Napoleon był wspaniałym strategiem, jednak na ogół mierzalnym taktykiem. Jest to zadziwiająca twierdzenie, jednak studium jego bitew potwierdza to dowodnie. Wczesne włoskie bitwy Napoleona wykazują niecierpliwość w wykorzystywaniu sytuacji, które stworzyła jego intuicja strategiczna i śmiałość. Nie manewruje on prawie zupełnie na pola bitwy a wojska rzuca w ogień najprostszą drogą. Marengo było klęską spowodowaną przez pośpiech, który był wynikiem złego wywiadu i dopiero Desaix przeważał szale, przybijając w sam czas. Jena była bałaganem. Gdyby kto inny dowodził pod Eylau, Wagram i Borodino, określono by te bitwy jako niezręczne rzeźnie. Późniejsze zaś jego bitwy: Lipsk, Ligny, Waterloo też nie wykazują zdolności taktycznych.

Aby podeprzeć jego reputację cytować się będzie Austerlitz. Nie ulega wątpliwości, że była to dobrze planowana i rozegrana bitwa, jednak było w tym wiele zaśluzi "terenu," a jako przykład

taktycznego kontrataku nie wytrzymuje ona porównania z mistrzowską improwizacją Wellingtona pod Salamanką. Pod Friedlandem Napoleon szybko wykorzystał błąd zręcznego zazwyczaj przeciwnika, lecz taktyka tej bitwy była bardzo prosta.

Może się myśleć, ale nie mogę odznaczyć Napoleona za taktykę. Prawie w ciągu całej swej kariery był swoim własnym panem i nie był odpowiedzialny wobec żadnego rządu; gdy zaś był odpowiedzialny, nie słuchał rozkazów. Nie zwracał również uwagi na szkolenie wojsk, za wyjątkiem korpusu weteranów. Wysoko go stawiam za strategię, energię i przedsiębiorczość—szczególnie w młodości, jednak jako taktyk był wyraźnie drugorzędny.

Wellington, przeciwnik Napoleona w jego ostatniej bitwie, był jego zupełnym przeciwstawieniem. Zdolny, choć nieco zbyt ostrożny strateg, uczył się sztuki wojennej w Indiach, gdzie była ona na poziomie wozów zaprzęgniętych w byki. Nie był błyskotliwy, ale zato pewny i równy. Jako taktyk zaś był zarówno pewny, jak i świetny.

## O stosunkach polsko-angielskich

(Artykuł napisany specjalnie dla "Polski Walczącej") \*

Któs przyjazny, powiedział niedawno, że Polacy w Anglii, "stworzyli wyspę na wyspie." Jeśli to twierdzenie jest trafne, cóż za klęska dla Polski! Pochodząc z kraju, który z wyjątkiem Gdyni i drobnego skrawka wybrzeża, miał wyłącznie lądowe granice i który z tego właśnie powodu był tak słabo znany Anglikom (wiadomo, iż zwłaszcza na prowincji są oni bardzo wypisarczy) każdy Polak powinien tym bardziej pozostawić ową "wyspę" za sobą i dać nurka w morze angielskie, które stoi przed nim otworem.

Polskie poczucie narodowe, porównać można do kruszcu, który przeszedłszy surową próbę w tyglu rozbiorów, jest tak doskonale zahartowany, iż nie może dać stopu z brytyjskim metalem. Jego wartość nie może się zmniejszyć, jednak kształt można dostosować w sposób bardziej praktyczny i w ten sposób szeroko ujawnić jego wciąż jeszcze nieznaną bogactwa.

Anglicy, ze swą znaną powściągliwością stwarzają także u cudzoziemców fałszywe wrażenie zarozumiałości; rzecz jasna nie ułatwia to obopólnego zbliżenia. Polacy oraz inni cudzoziemcy powinni jednak pamiętać o tym, że Anglicy są duchowo bardziej skomplikowani, niż inne ludy białej rasy.

Są oni bardzo zamknięci w sobie i bardzo "nieśmiały", *they suffer greatly from "shyness"*, czego nie można wiernie przetłumaczyć, ale to da się może objaśnić. Pochodzi to głównie stąd, że cenią sobie bardzo wysoko "prywatność" własnych uczuć i myśli. Sądzę, że inni ludzie także nie lubią, gdy ktoś obcy wtrąca się w ich uczucia i myśli i zakłóca je. Stanowczo nie jest to zarozumiałym lekceważeniem cudzoziemców. Jest to raczej, na ogół zbyt szorstki, względ na coś, co Anglik — sądząc po sobie — niesłusznie uważa za wrażliwość cudzoziemca. Zapomina on o tym, że choć on sam jest zamknięty w sobie, to cudzoziemiec jest prawie zawsze otwarty, lubi dzielić się swymi uczuciami i myślniami z kimś innym, chętnie wynętra się przed ludźmi i dyskutuje na ten temat.

Ten pozorny chłód i brak zainteresowania nie powinien zatem odstraszać Polaków od pogłębiania znajomości z Anglikami. Nie ma chyba chyba Anglika niezainteresowanego bohaterskim narodem, który pierwszy przeciwstawił się zbrojni Hitlerowi i który walczy przeciw Niemcom razem z nami tak mężnie i bez wytchnienia od września

\* Kapitan A. C. Graham jest posłem do Parlamentu brytyjskiego. Wydał broszurę: "Does Poland matter to Britain?" której części były drukowane w "Polsce Walczącej" /nr. 48 z ub.r., nr. 3 z b.r./.

\*\* Sepoj, to żołnierz indyjski na żołdzie angielskim /przyp. tłumacza/.

1939 r. do dziś dnia, i walczył będzie aż do zwycięstwa. Wszyscy Anglicy podziwiają odwagę i zawsze w ciągu swych dziejów podziwiali tych, którzy jak oni, wolność cenili bardziej, niż życie.

Poczynamy zdawać sobie sprawę z tego, że nasze wiadomości o Polsce, o tym co pojedynczy Polak lub Polka myślą i czują, są niewystarczające. Tak wiele z tego co Anglik wyobraża sobie, iż wie o Polsce przyszło drogą przez Niemcy, a Anglicy poczynają się z ostrożnością i powątpiewaniem odnosić do niemieckich źródeł informacji. Jeśli znamy rzekę jako: "ODER" a nie jako: "ODRE," czyż nie jest rzeczą zrozumiałą, iż myślimy o niej jako o rzece pruskiej, a nie słowiańskiej? Lecz Anglicy nigdy nie dowiedzą się prawdy, jeśli jakiś Polak im nie wytłumaczy, że to jest właśnie "ODRA" i że była "ODER" tylko przez 150 lat i to nieprawdnie!

Jeśli niemieccy pisarze przekonali raz Anglików, że Polacy są narodem beznadziejnie niepraktycznych romantyków, niezdołnych do rzeczowego załatwiania swych interesów, to Anglicy będą nadal tak myśleli, chyba, że spotkają Polaków którzy—mówiąc po angielsku—opowiedzą im o Gdyni, o tym, co Polacy osiągnęli w przemyśle i w chemii na Górnym Śląsku, o polskiej marynarce i o tych wszystkich praktycznych dokonaniach, tak brutalnie przerywaną inwazją niemiecką w roku 1939. Anglicy nie są narodem, który instynktownie docenia wartość sztuki i muzyki, i dlatego takie nazwiska o światowej sławie, jak Chopin lub Paderewski wydają im się mniej ważne, niż nazwiska Edisona lub Marconiego, których wynalazki sami wypróbowali. Większość będzie brała Madame Curie za Francuzkę, aż do czasu, gdy każdy Polak tu przebywający wbije w głowę każdego Anglika, że była to niezwykle praktyczna polska kobieta. To robi wrażenie.

Praktyczna rzeczowość w załatwianiu interesów także zawsze robi wrażenie. Wydaje mi się, że armii brytyjskiej zaczyna imponować sprawność armii polskiej w wojnie współczesnej, tak jak ich towarzysom w dwu pozostałych broniach imponują polskie lotnictwo i polska marynarka.

Lecz niechaj jeszcze te rozmaite polskie ministerstwa, które najczęściej stykają się z Anglikami okazały te same zalety a będą miały większy wpływ na swych angielskich kolegów. Wyraźnie blahe szczegóły jak n.p. punktualne (t.j. w ciągu trzech dni) załatwianie korespondencji oraz doskonała znajomość języka angielskiego tych, co zgłaszają się do telefonu w polskich ministerstwach, wpaja w Anglików przekonanie, że Polacy

to nie romantyczny, marzycielski, na pół azjatycki naród słodkiego nicnieróbstwa lecz zdolny, praktyczny, zachodni naród, jak oni sami.

To jest ważne nie dlatego, że Anglicy pragną, aby inne narody były takie same jak oni, ale dlatego, że mówią: "Niemcy to niebywale zdolny i praktyczny naród, choć naród bez duszy. Polacy nie potrafią im się nigdy oprzeć, tak jakbyśmy tego pragnęli, chyba, że są równie praktyczni i zdolni jak Niemcy." Bardzo istotnym powodem pozornego braku zainteresowania ze strony brytyjskiej środkowo-wschodnią i wschodnią Europą było wrażenie—popierane, rzecz jasna, przez Niemców— że większość tamtejszych narodów jest zbyt niepraktyczna, aby mogła zarządzać swymi interesami w sposób właściwy i że będą one zatem stale wciągały nas w wojny, chyba iż rządzą nimi będzie jakiś naprawdę praktyczny naród jak n.p. Niemcy. Niebezpieczeństwo takiej zasady nie przeważało w umysłach angielskich—a tym mniej amerykańskich—niecierpliwości, z jaką patrzano na wasnie i przewroty we wschodniej części Europy, a ich powody były najzupełniej obec szerokim masom ludności Anglii i Ameryki.

W polityce międzynarodowej nie wolno zapomnieć dzisiaj o tym, że w demokracjach anglosaskich władza naprawdę leży w rękach ludu i że niestety szerokie masy tego ludu są wciąż jeszcze tylko na pół wykształcone. Ludzie zaś na pół wykształceni łatwiej ulegają fałszywej propagandzie od analfabetów, gdyż są zarazem bardziej podatni na idee, mają mniej zaufania do swych naturalnych przewodców i łatwiej ulegają wpływom ambitnych demagogów.

Jest to rzecz zasadnicza dla przyszłości Polski, aby Polska i jej naturalne dążenia były rozumiane i odczute przez demokrację brytyjską i to jak najprędzej. Można to osiągnąć, jeśli każdy Polak będzie się uważał za "komiwojżera" Polski. Musi on — w amerykańskim znaczeniu tego słowa—"sprzedawać" Polskę, t. zn. musi sprawić, aby pojedynczy Anglik czy Angielka zapragnęli wiadomości o Polsce, a następnie musi im opowiedzieć o tym wszystkim, co Polska działała, o tym, co zamierza dziać, i jak Wielka Brytania może pomóc sobie, pomagając w budowie tej wielkiej i silnej Polski, która będzie w przyszłości filarem pokoju i zachodniego postępu w Europie środkowo-wschodniej.

Orzeł polski spogląda na zachód, nie na wschód. Niechże się nie obawia dobrać ze siebie głosu!

ALAN GRAHAM

Był przede wszystkim mistrzem w obronie, jednak jego atak pod Assaye, przeprawa przez rzekę Douro i kontratak pod Salamanką wykazują, że umiał być śmiały i agresywny, gdy nadarzała się ku temu sposobność. Sposób w jaki używał "linii" brytyjskiej dla pobicia francuskiej "kolumny" był wynikiem zdrowej i głębokiej myśli taktycznej. W stosunkach ze swoim rządem i sprzymierzeńcami wykazywał podziwu godny takt i zdrowy rozum. Miał mniej temperamentu, niż Napoleon, lecz zdrowszy sąd—bodajże najzdrowszy ze wszystkich wielkich generalów.

Lee, najwybitniejszy bohater wojskowy amerykańskiej wojny domowej, był dobrym strategiem i taktykiem. Wielki w przeciwnościach i być może najbardziej uwielbiany i sympatyczny ze wszystkich wielkich wodzów. Za główny jego błąd, z czysto wojskowego punktu widzenia uznać trzeba to, że był zbyt "miękki"; był zdaje się zbyt szlachetny do tego nieszlachetnego interesu, jakim jest wojna. Ktoś bardziej bezwzględny napewno by wciągnął Longstreeta do bitwy pod Gettysburgiem o wiele godzin wcześniej, przez co skonfederowani zyskaliby dzień, a może wygrali wojnę. I być może, że to słabość sprawiła, iż przed Gettysburgiem pozwolił Jeb Stuartowi na jedną z jego fantastycznych wypraw na tyły wroga, czego skutkiem był brak konnicy w decydującej bitwie i w decydującym momencie.

Moltke był strategiem, a nie taktykiem. Pod Sadową tylko raport podjazdu, którego sam nie wysłał, uchronił go od popełnienia wielkiego taktycznego błędu. Nie wydaje mi się, że powinniśmy uważać go za wodza, choć niewątpliwie był głębokim umysłem wojskowym.

Naszym współczesnym, Fochowi i Ludendorffowi, nie należy się również miejsce w pierwszym rzędzie. Foch popełnił zbyt wiele błędów, choć naprawił je w końcu dzięki swej nieugiętej postawie, która była jego główną zaletą. Ludendorff z drugiej strony, z całą swą zręcznością i wiedzą nie wytrzymuje próby niepowodzenia. Największy naród wojskowy ostatniego stulecia i być może największy wojskowy naród wszystkich czasów /pomysleć, jak głupia rzecz jest militaryzm! / nie wydał ani jednego naprawdę wybitnego wodza i zadowolili się tylko figurami, jak Hindenburg lub Hitler, za którymi funkcjonuje SYSTEM ze swymi starannie wyuczonymi managerami, inżynierami, majstrami, nadzorcami, robotnikami—rzeczowo, skutecznie, nieodparcie, dopóki coś w maszynie się nie zepsuje.

Czy powyższe rozważania zbliżyły nas nieco do celu, którym jest wyznaczenie największego wodza wojennego? Czy Mynn grał lepiej w cricketa, niż Grace, Grace, niż Trumper? Różnica w warunkach gry uniemożliwia porównanie.

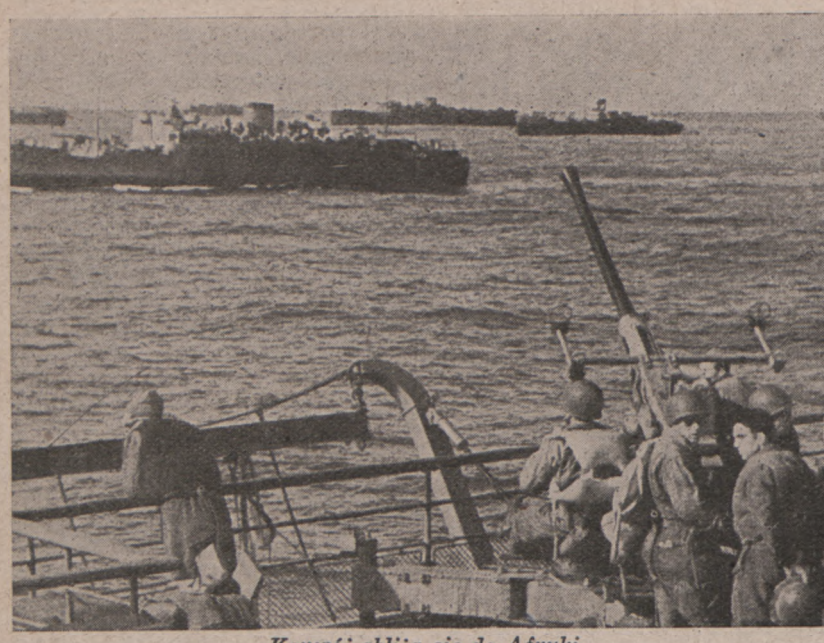
Główną przeszkodą w ocenie zasługi wojskowej jest brak szczegółowych wiadomości. Nie wiemy n.p. nic o organizacji i trudnościach, jakie Hannibal miał z dostawami. Być może, że gdyby posiadał jeszcze 50 słoń pomaszeralby z pod Cannae wprost na Rzym i zmienił oblicze historii. Mimo to będą na tyle śmiały, aby uczynić wybór i oto jaki jest wynik tego wyboru.

Marlborough i Belisarius stawią jako pierwszych. Są to dwaj najzdolniejsi i najbardziej wybitni żołnierze, o których czytałem. Następna para to Wellington i Fryderyk Wielki, najpewniejsi i najczystszej wody żołnierze. Po nich Lee i Napoleon, dwa błyskotliwe przykłady sztuki wojskowej /zawodowiec i amator/. Gdzieś w ich bliskim towarzystwie musi się znaleźć miejsce dla Scipiona i dla Hannibala, lecz nie czuję się na siłach, aby określić ich dokładną pozycję. Dlatego stawiam ich "poza konkursem" jako przedstawicieli starej szkoły.

Nie przypuszczam, aby wszyscy zgodzili się na mój wybór i być może popełniłem wiele niedopatrzeń, ale nie miałem czasu na sprawdzenie faktów, które przytaczam. Rozmyślając o tych wielkich mężach, miałem godzinę lub dwie odprężenia od odpowiedzialności dowództwa w czasie wojny. I być może, iż moje uwagi dadzą i innym wytchnienie w obecnych surowych czasach, przypominając stare i lepsze wojny.

SIR ARCHIBALD WAVELL  
autoryzowany przekład  
DOMINIKA SZCZERBICA

# INWAZJA NA ALGER



Konwój zbliża się do Afryki

... X.  
Wychodzimy w morze nagle, prawie bez uprzedzenia. Wszyscy są przekonani, że idziemy na ćwiczenia desantowe "somewhere in Scotland." Na pokładzie mamy pełny ładunek wojsk amerykańskich i brytyjskich. Wychodzą z nami wszystkie "troopships" stojące dotąd obok nas w X... Jest godzina 1 w nocy, gdy jeden po drugim potężne kolosy morskie podnoszą kotwice i wymykają się z zatoki. Wiem, że idziemy na ćwiczenia, ale jednak coś mi mówi, że to będzie operacja poważniejsza. Coś nie "na niby."



Przeladunek żołnierzy ze statku na "landing-craft"

... X.  
Jesteśmy na Atlantyku. Pogoda dość "rough." Wiatr około 5, ale dość silna martwa fala kiwa nami wcale nie na żarty. Kurs SW. Wiemy już więc, że nie idziemy "somewhere in Scotland" ale raczej "somewhere in Africa." Pierwsze nasze przypuszczenie, że do Dakaru upada, gdy "począta pantoflowa," tak niezawodnie działająca w takich wypadkach przynosi wiadomość o Casablance. A więc jedziemy zdobywać Maroko Francuskie.

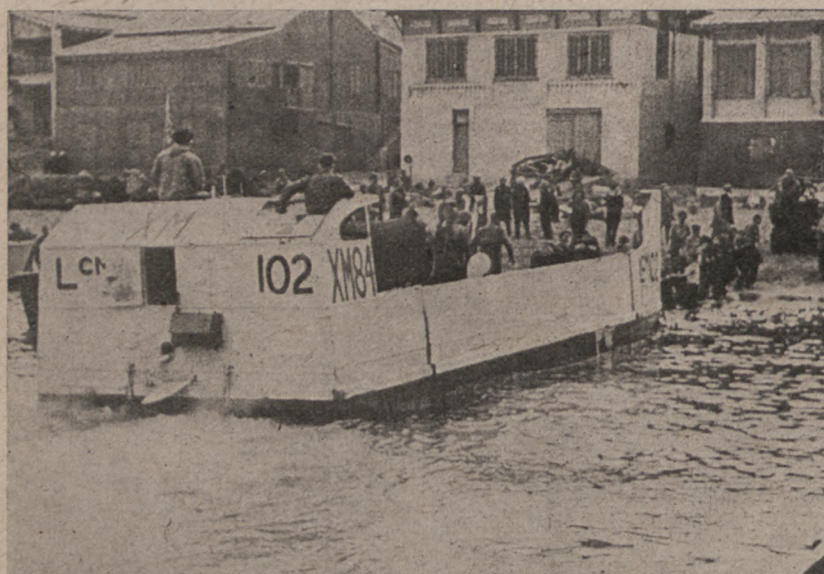
Radość z tego powodu psuje nam trochę tylko pogoda. Ocean rozgrzał się na dobre i zaczyna sobie z nami poczynać jak z pišką do zabawy. Idziemy w kilkunastu kolumnach. Same wielkie "troopships" eskortowane przez krążownik, lotniskowiec i całą flotę kontrtorpedowców. Ta jadąca na podobieństwo floty symbolizuje jakby Aliantów, gdyż prócz statków brytyjskich są tu i amerykańskie, holenderskie i wreszcie polskie.



Baraki paskadonne zbliżają się do nadbrzeżnej osady

... XI.  
Mamy dziś pewnego rodzaju urozmaicenie monotonii podróży. Oto po raz pierwszy sygnalizują nam okręt podwodny. Obkłada ją go bombami samoloty z naszego lotniskowca a kontrtorpedowcy dodają od siebie kilka "depth-chargów."

Dzisiaj także po raz pierwszy w tej podróży spostrzegam rekina. Olbrzymia bestia zatacza dwa duże koła wokół statku. Przesądni pukają za siebie. Rzeczywiście trochę to makabryczne zjawisko w zestawieniu z dzisiejszym okrętem podwodnym. Jakis niewczesny dowiecnił stwierdza, że: "rekiny to zawsze tak—trzymają się w pobliżu okrętów podwodnych, bo czują żer." Inny znów wesołek porównuje rekiny, które ciągną za konwojem do kruków, które ciągną za wojskiem.



Baraka dobila do brzegu

... XI.  
Zaduszki — Dzień Zmarłych. Tak się złożyło, że akurat dziś mieliśmy pogrzeb. Na jednym ze statków umarł bosman. "Commodore" wydał rozkaz i w czasie uroczystości pogrzebowej wszystkie statki, z opuszczonymi do polowy banderami zataczyły kolo nad miejscem, gdzie spoczęło zaszyte w worek ciało pierwszego zmarłego w tym konwoju marynarza.



Flota broni nieba przed nieprzyjacielem

... XI.  
Wiadomo już na pewno, że jedziemy na inwazję Algieru i Oranu. Nasz statek idzie do Algieru. Mamy wysadzić nasze wojsko trochę przed miastem, tak by oddziały naszego konwoju zaatakowały Algier od strony ładu. Dołączają do nas nowe kontrtorpedowce z Gibraltaru. Ku naszej radości odnajdujemy wśród nich i naszego starego znajomego O.R.P. ... Tak więc i Polska Marynarka Wojenna jest reprezentowana w tej "awanturze."

W nocy wchodzimy do cieśniny Gibraltaru. Z lewej burty widać oświetlone brzegi Hiszpanii, z prawej Maroko hiszpańskie, także dość jasno oświetlone. W cieśninie przed nami jarzą się światła rybaków hiszpańskich. O godz. 12.30 widać już potężną skałę Gibraltaru, a z prawej burty lśniące tysiącami światel miasto Ceuta. Gibraltaru, chociaż latarnie morskie ma pogaszone nie jest za ciemniłony. Jednak w porównaniu z Ceutą, która wprost zionie ulewą światła (tak przynajmniej zdaje się mi — przyszykłym do black-outu oczom) Gibraltaru stoi jak wielki ciemny blok granitu, robi wrażenie ponura. Ceuta to po prostu "Luna-Park." Ta ulewa światel robi na mnie duże wrażenie.

nie. Żyjąc w black-outcie przez przeszło trzy lata, nie zdawałem sobie po prostu sprawy, jak bardzo tęsknie do widoku zalanych światłem elektrycznym ulic i kolorowych neonów.

... XI.  
Morze Śródziemne wita nas śliczną pogodą i gładką, prawie bez zmarszczki taflą swych wód. Z lewej burty brzegi Hiszpanii, nad którymi bieleją śnieżnymi kopkami szczyty Sierra Nevada, z prawej sinitą na horyzoncie brzegi hiszpańskiego Maroka. Pod samymi brzegami ciągnie potężny konwój "Royal Navy." Pancerniki i lotniskowce ostro odcinają się ciemnymi sylwetkami na tle jasnych, urwistych brzegów "neutralnej" Hiszpanii, a wokół nich ugania sfora kontrtorpedowców, ścigaczy i korwet. Z tyłu, za nami widać ciągnący "slow convoy" z Gibraltaru ze sprzętem i amunicją.

O godz. 1 w południe pierwszy alarm p-lot. Wywiadowcy samolot "Breda" — dwusilnikowy Włoch, przelatuje wysoko ponad konwojem i chroni się w Hiszpanii przed naszymi startującymi z lotniskowców "fighterami."

... XI.  
O godz. 6 rano na jednym z amerykańskich statków idących po naszej lewej burcie, rozległa się silna eksplozja. Dymiąc, statek ten zawrócił w stronę Gibraltaru. Mówią, że był to wybuch benzyny, ale na 5 minut wcześniej widziano samolot, jak kierując się na Hiszpanie, znikł w chmurach. Diabli wiedzą komu wierzyć.

Około 11 w południe usłyszałem strzelanie, ale chcąc się wyspać przed dzisiejszą nocą nie wstałem z kozi. Był to znów samolot, który podobno usiłował atakować konwój, ale przestraszony silnym ogniem naszej artylerii zrezygnował. Na mojej wachcie (12—4 po poł.), trzy razy meldowano samoloty wywiadowe. Dołączyła się do nas cała flotylla korwet i "motor-boatów" które będą prowadzić "landing-crafty."

O godz. 5.30 ukazały się trzy bombowce. Otworzono do nich tak piekielny ogień z pancerników, kontrtorpedowców i naszych statków, że zdażyły rzucić bomby tylko gdzieś do wody i zwiły. Na tle granatowego nieba śliczny widok tworzyły czerwone sznurki pocisków "pom-pom," zielone "Boforsów" i świetliste smugi "Hotchkissów", "Oerlikony", dla uświetnienia widowiska, jakby nabijały niebo różowymi gwóździami, a od czasu do czasu cały horyzont rozjaśniał się potężną luną towarzyszącą wystrzałom ciężkich dział.

Po wachcie idę spać, gdyż już za parę godzin może być naprawde dochodzimy już do celu podróży. O godz. 10.30 wieczorem budzi mnie huk zrzuconej kotwicy. Wychodzę na pokład.

Z lewej burty na horyzoncie luno oświetlonego miasta, z prawej błyski latarni morskiej. Na pokładzie ruch i bieganina. Opuszczają "landing-crafty", które odchodzą próżne, by wziąć z innych statków oddziały "Commando"; wylądują one pierwsze, by przygotować lądowanie armii regularnej. Stoimy 12 mil od Algieru. Wokół nas czarne sylwety "troopships" ostro odcinają się na tle jasnej luno, bliżej od miasta. Zapadne zlekceważenie black-outu to najlepszy dowód, że zaskoczenie będzie całkowite.

Wojsku wydano dziś rum, to też wszyscy /Amerykanie szczególnie/ są w doskonałych nastrojach. Wszyscy żołnierze i oficerowie U.S.A. mają na rękawach przyszyte duże banderki amerykańskie, a na maskach samochodów przyklejono wielkie bandery.

w mieście przestaje się palić, ale zapala się kilka reflektorów tylko po to, by zaraz z powrotem zgasać. Strzałów nie słychać.

O godz. 2.30 przychodzi z ładu pierwsza depeza: "Ładowanie odbyło się szczęśliwie." O godz. 4 nadchodzi radiotelegram zawiadamiający o wylądowaniu obu grup "Commandos" i o wzięciu fortu Sidi Ferruch. Wobec tego podnosimy kotwicę i idziemy na wyznaczone miejsce blisko tego fortu, gdzie się będziemy wylądowywać. Kończąc wachnię i idę spać przy akompaniamencie grzytów wybieranego łańcucha kotwicznego.

... XI.  
Budzę się o godz. 11 na odgłos strzelaniny. To nasze "Oerlikony" walą do zabłąkanego tu Niemca. Stoimy w odległości mili od piaszczystego brzegu zatoki. Po prawej stronie, na cyplu Sidi Ferruch widać fort, który wczoraj ja właściwie wziął w nocy /zdobry prawie bez walki oddziały "Commando." Widać przez lornetkę, jak kolo dźki kręca się już angielskie obsługa. Głębiej w zatoce stoją ładne maurytańskie wille eleganckiej kolonii Ville des Dunes. Naprzeciw nas, w środku zatoki, odbywa się wciąż ładowanie wojska, samochodów i czolgów z naszych "troopships" i z "kargowców," które nadeszły w nocy w "slow convoy" z Gibraltaru.

Orginalny widok tworzy ta grupa statków zakotwiczonych na środku niewielkiej zatoczki. Od statku do statku krążą dziesiątki warliwych "landing-craftów" rozmaitych rodzajów. Są więc specjalne łodzie do przewozu ludzi, czolgów, armat, są uzbrojone motorówki, przeznaczone do ochrony lądujących oddziałów i wiele jeszcze innych rozmaitych stateczków. Wszystkie krążą niestannie między plażą a statkami i zwożą coraz to nowe porcje wszelkiego sprzętu wojakowego. Gdy taki "speed boat" przybieje do burty i gdy na bumach spuszcza ją samochód czy działko, to jednocześnie podaje się na linie kosz z sandwiczami i konewkę z herbatą, bo nawet na posiłek zalogę jego nie ma czasu.

Pogoda jest ładna i afrykańskie słońceko porządnie jeszcze przygrzewa. Stoję na mostku w rozpiętym mundurze i patrzę na dwa szereg "speed boatów," które niestannie i niezmiernie jeżdżą tam i na powrót, łącząc nasz statek z plażą zatoki jasną smugą swych kilwatów. To pierwsza inwazja, jaka widzę i w której biorę bezpośrednio udział, pierwsza i, daj Boże, nie ostatnia.

... XI.  
W nocy o godz. 12 obejmuję wachnię. Pogoda dość marna. Duży wiatr uniemożliwia ładowanie samochodów na łożcie. Nie wiem jak to będzie, bo rano mamy wyjść do morza do Anglii. Przyszła wiadomość, że w Casablance, Oranie i Algierze podpisano już "armistice," wobec czego statki "cargo" mają rano wejść do Algieru.



by już w porcie dokończyć wylądunku.

Na ładzie około godz. 2 wybuch pożar gdzieś w okolicach miasta, przedko jednak gasnie a w pół godziny potem puszczają dwie białe rakiety. To pewnie koniec operacji. Łapie Algier i słucham muzyki. W pewnej chwili przerywają płytę i zaczyna przemawiać... Gen. Giraud, ten sam, który tak sprytnie zwił z niewoli niemieckiej. Dawno już nie miałem francuskiego języka w użyciu, ale słowa odczytu tego generała zrozumiałem doskonale. Mówił o podpisaniu rozejmu: "Nadeszła chwila czynu Francuzi, chwila, w której każdy uczy się Francuzi chwyci za broń, by stanąć u boku wojsk Stanów Zjednoczonych, walczących o wolność całego świata. Francjoz budź się — godzina odwetu wybiła" — zwołał grzmącym głosem byłego jeńca niemieckiego.

O godz. 4 rano kończę wachnię i idę spać. Gdy się obudziłem, loskot motorów oznajmił mi, że jedziemy. Wyszedłem na pokład, mijaliśmy właśnie cypl, poza którym bieleli się w słońcu Algier. A więc jednak idziemy do portu. Jest to mały, czarny Francuz, który wita nas radośnie uśmiechniętą twarzą. Rzucamy kotwicę na środku zatoki. Obok nas stoją inne statki. Oglądam miasto i port przez lornetkę. Długie falochrony i mola chronią port wewnętrzny, w którym stoi kilka statków francuskich. Są to eleganckie "pasazżery" wycieczkowe o czerwonych kominach i bialo-czarnych burtach — widok niezwykle podczas wojny.

Wzdłuż basenów portowych ciągnie się wspaniały bulwar, przy którym stoją wielkie białe lub piaszkowe bloki, budowane przeważnie w stylu maurytańskim /okna, kolumnienki i krużganki/. Dalsze domy stoją już na zbrocu, na którym leży całe miasto. Są to bądż duże bloki domów /zresztą utrzymane w stylu arabskim tak, że zupełnie nie razią obok minaretów/, bądż też wille i arabskie Gdzieniedzie złocą się w słońcu kopuły i minarety meczetów lub wystrzela w niebo smukły kształt obelisku. W prawo na wzgórzach bieleje masa zbitych domków arabskiej dzielnicy Kasba /znanej mi z filmu "Pépé le Mocc"/.

Pilot czekając na swą motorówkę opowiada z entuzjazmem o wkroczeniu "Américains" do miasta. Odbiło się wszystko bardzo spokojnie. Nie napotykać na opór zalogi miejscowego garnizonu, Amerykanie /ciągle mówi tylko o Amerykanach — o Anglikach nie wspomina, bo rzeczywiście Amerykanie rzucają się najwięcej w oczy swymi banderkami ponaszonymi czy nalepionymi, gdzie tylko się dało/ a więc Amerykanie wkroczyli bojowo od razu z trzech stron miasta. Zdziwili się ogromnie, gdy na ulicach spotkali tłum spacerowiczów /opowiadający pilot sam był wtedy na spacerze

z swoim synkiem/, którzy zjawienie się ich powitali entuzjastycznie nim okrzykami. W dodatku miejscowi "de Gaullicsi" oddali im w ręce uprzednio już aresztowanych zwolenników "Osi." Jedynym "lupem" wkraczających wojsk były samochody uciekające z miasta personelu konsulatu włoskiego i niemieckiego.

Nasz pilot opowiada, że w mieście panował głód, gdyż cała żywność wysyłano do Libii, dla armii Rommla. Tak na przykład na osobę przypadało 50 gramów mięsa tygodniowo. Podczas opowiadania pilota na redę Algieru przybywają coraz to nowe statki, tak, że wkrótce robi się tu porządny tłok.

O godz. 5 po południu wywabiana mnie na pokład strzyla broni maszynowej. Gdy wyskakuje z kabiny, spostrzegam nad samym statkiem dziewiątkę bombowców. Nadlatują z nad ładu w równoległej formacji eskadry — jak na dekadzie i dopiero nad samym statkiem rozlatują się w dwie strony. Ze statków strzają do nich "Boforsy" i "Oerlikony." Nagle widzę błysk i na małym przeciwlotniczym okrecie wojennym bucha w niebo słup ognia. Równocześnie wokół stojącego obok nas statku wykrytą wysoko ponad jego maszty trzy słupy wody, a na ładzie w pobliżu arabskiej dzielnicy zapala się wśród obłoków żółtego dymu jakiś dom. Chwile potem jeszcze pięć słupów wody znaczy miejsce upadku spudowanych bomb "Bosów."

Ze statków rozpuć się istna orgia strzalałów. Lecą w górę barwne pociski "Boforsów" i "Oerlikonów," grzmia basem działa przeciwlotnicze, a akompaniuje im ciężka artyleria z widocznym na widnokręgu okrętów liniowych "Royal Navy," które co chwila zapalają zaciemniający się już horyzont jasnymi łunami obłasków. Biegnę na "monkey island," by lepiej widzieć. Jest tu już trzeci oficer i angielski oficer łącznikowy.

Na niebie "Heinkle" rozprzechy się na wszystkie strony jak przestraszone stado sępów, a na każdego z nich syple się istna ulewa kolorowych pocisków. Są niestety poza zasięgiem "Oerlikonów," ale "Boforsy" dają się im widocznie we znaki, bo zygakują i kręcą się jak w ukropie. Tymczasem ściemnia się z każdą sekundą i raczej domyślamy się, gdzie są, niż widzimy poszczególne samoloty.

W pewnej chwili od strony ładu nadlatują mniejsze maszyny. Nasze "Oerlikony" i "Boforsy" przenoszą na nie swój ogień. Patrzę przez lornetkę i nagle rozpoznaję "Spitfire'y." Pryskakuje więc do marynarza strzelającego z "Oerlikona" i ryczę mu w ucho: "Stop fire, it is our plane." Jednocześnie trzeci oficer gwizdże i daje rozpaczliwe znaki rekoma do "Boforsa" i innych "Oerlikonów" i udaje mu się wstrzymać ogień zacięklých "gunnerów." Na chwile milknie szcęk karabinów, więc korzystając z tego patrzę na trafiony bombami okręt. Na rufie pali się i co chwile widać dość wysokie wybliski eksplozji.

Na niebie znów rozgorzała walka. Zza chmur wyskakują nagle dwa bombowce i rzucają bomby między nas, a stojące dalej w zatoce statki. "Boforsy" i "Oerlikony" zioną znów kolorową ulewą pocisków. Śledzę jednego z Niemców, jak usiłuje wydobyc się z posród ścigających go ogników i nagle widzę, jak w powodzi kolorowych pocisków zjawia się za "Heinklem" maleńka sylwetka myśliwca. "Heinkel" strzela do niego z tylnej wieżyczki, ale w tej samej chwili ze skrzydeł "Spitfire'a" wytryskują czerwone smużki i łąca oba samoloty świetlista wstążka. Sekunda i Niemiec wali się w dół, wlokąc za sobą słup ognia.

Wszystko to dzieje się wśród szalejącego ognia broni maszynowej i artylerii. Gdy trafiony "Heinkel" paląc się, zaczął lecieć w dół, umilkły na chwile wystrzaly na statkach a zamiast nich wybuchła istna burza oklasków i dzikich wprost krzyków radości. Sam nie mogłem się powstrzymać od zwycięskiego a nieartykułowanego zgola "ryku" na widok świetlistego meteoru.

Gdy już był blisko ziemi, od

kadłuba jego oderwał się spadonichron, lecz zaraz po rozwinieciu się buchnął także płomieniem i wraz z samolotem zwałił się ciężko na ziemię, gdzieś na wschodnim krańcu miasta. "Spitfire" zatacza nad nim "victory round." Podziwiam go tym więcej, że dosłownie wlaży w sam środek piekła własnej artylerii, by dostać i wykończyć Szwabę.

Chwile tylko trwa głośna radość wywołana straceniem palącego się jeszcze na ładzie Niemca, gdyż pochłania nas nowy "Heinkel," a właściwie kilka, atakujących teraz lotem nurkowym tuż nad wodą. Wita ich żywa ściana "traceroów," więc zwracają i gonione przez barwne ogniki, tuż nad wodą wjeżdżają w stronę ładu. Jeden z nich, czy trafiony, czy też po prostu "zgoiniony" wpada na plażę i rozbiła się. W górce "Spitfire'y" przeganiają resztę "Heinklów" a zapadająca szybko noc kończy wreszcie dzisiejsze emocje.

Na horyzoncie tylko odbywa się jeszcze walka. To "Royal Navy" odpięra atak zacięklých "Heinkli." Głuche dudnienie artylerii i wybuchy orszak lub bijać wysoko w niebo znaczą miejsce walki tych olbrzymów morskich z atakującymi je bombowcami. Zajęty byłem obserwacją walki powietrznej rozrywiającej się nad naszymi głowami i w stronę floty wojennej nie miałem przedtem czasu spojrzeć, ale i tam widziano kilka strażących "Heinkli" — świetlistych meteorów lecących ku ziemi.

... XI.  
Rano był atak na konwój, a nawet stojący niedaleko nas statek holenderski "obłożono" wokolo bombami. Wszystkiego tego dowiedziałem się od kolegi zdającego mi wachnię, gdyż sam zmezonny wczorajszymi przeżyciami i nocną wachną nawet się nie przebudziłem. Z radia dowiadujemy się, że wczoraj stracono dwanaście "Heinkli," a dzisiaj dalsze trzy.

Pogoda dziś śliczna i morze jak lustro, więc korzystając z tego chwylu, ładujemy na "landing-crafty" i na naszą motorówkę ekwipunek wojskowy.

Około 5 po południu znów nalot i znów jestem świadkiem, jak jeden z niemieckich samolotów zapala się i przecina ciemne niebo jasną smugą, by za chwile zgasnąć w morzu. Nie robi to już na mnie dziś takiego wrażenia, jak wczoraj, widocznie do wszystkiego można się przyzwyczaić. Okrety wojenne przez jakieś pół godziny robią piekło na horyzoncie i równo z zapadnięciem mroku, który tu zapada wprost momentalnie, kończy się nalot i z nim ogień dział "Royal Navy."

... XI.  
W nocy wychodzimy i sami — bez konwoju — na "full speed" kierujemy się na Gibraltaru. W drodze odbieramy całą masę depesz S.O.S. Niektóre z nich od statków z naszego konwoju. Zostały albo zaatakowane, albo nawet storpedowane przez okręty podwodne.

Wieczorem o godz. 10.05 nagle z przed samego naszego dziobu "wypłynął" na "full speed" i dając lewo na burcie, płytko zanurzony okręt podwodny. Szliśmy z szybkością X i zygakowaliśmy, więc szybko dano prawo na burcie i przerywając zygak na "pełnym gazie" wyrwaliśmy w przeciwnym kierunku. Widocznie i na okręcie przestraszyli się nie na żarty, gdyż nawet nie postali za nami torpedy.

Niefortunna "łódka" widocznie przycała się blisko naszego kursu, by w odpowiednim momencie posłać nam torpedę, a tu nagle my, zygakując zmieniliśmy kurs wprost na nią i o mały włos, a rozjechałbyśmy pechowych piratów. Nie dziwnego, że na łódce byli pewno więcej przestraszni, niż u nas. Złotliwi nawet twierdzą, że był to po prostu duży "kanalot," ale to tylko dla uspokojenia własnych nadszarpniętych nerwów.

Idziemy na wszelki wypadek blisko brzegów Hiszpanii, jako że mamy tyleż szans, że dojedziemy do Gibraltaru, ile szans, iż nas storpedują. Od "łódki" aż się tu roi.



Spadochroniarze brytyjscy w Algierze



Satandar amerykański w marszu



Oficer amerykański w rozmowie z tubylec



Biwak w dokoach Algieru



Zatadowanie więźniów niemieckich w Algierze

# Palestyna — 1942

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Spieczona i popękana od słońca, brunatno-pomarańczowa gleba... Jak okiem sięgnąć poprzez faliste równiny ciągnie się step pokryty wyschlą trawą. Na horyzoncie majaczą w lekkiej mgiełce łagodne zbocza gór, czasami niebieskie, niekiedy, gdy są oświetlone słońcem, różowe lub zgoła szkarłatne. Poprzez step biegnie wspaniała asfaltowa szosa, miejscami obramowana żywopłotem z kaktusów, sięgających do trzech metrów wysokości. W oślepiającym blasku słońca robi wrażenie jakby była ze szkła lub z ołowiu. Ma przy tym fioletowy odcień.

Po obu stronach szosy ciągną się jasno-pomarańczowe ścieżki, po których dostojnie kroczą wielbłądy, obciążone skrzyniami lub workami. Obok zwierząt z powagą idą Beduii w pasiastych i brudnych burnusach. Po tych samych ścieżkach drobnym truchcikiem biega osiołki wielkości dużego duńskiego doga. Na ich grzbietach, lecz tuż przy ogonie siedzą właściciele, bełcząc w powietrzu, nieomal nad samą ziemią, czarnymi od brudu stopami.

Obok szosy, ukazują się od czasu do czasu, zapadłe w ziemię, wioski Fellachów wybudowane z kamieni lub zlepione z gnoju wielbłądziej, będące obrazem dna nędzy ludzkiej. Z tych wiosek na widok Europejczyka jak szarańcza wybiegają chmary czarnych lub brunatnych Arabiatek i atakują go z wrzaskiem, w którym rozróżnić można tylko jedno słowo: "Bakszsz" (pamiątka). Obok tej samej szosy, jednak w dość sporej odległości od osiedli Arabów wzrok natyka na najbardziej zmodernizowane kształty z komfortem urządzonej willi, tworzących osady. Białe, czyste ściany budowli toną wśród zieleni kaktusów i drzew pomarańczowych. Są to nowo powstałe kolonie imigrantów-Żydów.

Ten kontrast i wynikające z niego następstwa natury głębszej spowodowały nienawiść Arabów do Żydów, która już dwa razy wylała się w krwawych zamieszkach. Na czas wojny zapadło milczenie "zawieszenie broni." Wydaje się, że w ogóle niezależnie od wojny wszystko idzie ku uspokojeniu. W każdym razie Żydzi są przekonani, że "jakoś tam będzie." Jednak powtarzające się co dziesięć kilometrów kwadratów, ponure, przypominające średniowieczne twierdze — budowle, zdolne do wytrzymania oblężenia, popartego ogniem broni ręcznej a nawet lekkiej artylerii, wymownie mówią, że jedni nie zrezygnowali z praw do kraju, w którym mieszkają nieomal od tysiąclecia, drudzy zaś trwają w niezłomnym postanowieniu, odzyskania swej prastarej ojczyzny, którą musieli opuścić pod przymusem.

Na skrzyżowaniach szos stoją posterunki wojskowe. Składają się one z reguły z trzech żołnierzy: z Australijczyka o potężnych barach, z ogromnym pistoletem przy boku, podoficera Policji Palestyńskiej w baraniej czapce z arabskimi i hebrajskimi cyframi na piersiach i... polskiego żandarma z czerwoną opaską na ramieniu, na której figuruje żółta litera "Z." Dwaj ostatni członkowie tego osobliwego triumwiratu mają także pistolety. Każdy ma swój resort: Australijczyk sprawdza i kontroluje wyłącznie brytyjskie wozy wojskowe, członek Policji Palestyńskiej cywilne wozy ludności żydowskiej i arabskiej, nasz podoficer — przetrząsa polskie samochody. Gdy jeden z nich jest zajęty swoją czynnością, pozostali dwaj gadają ze sobą, nie zwracając na czynności pierwszego najmniejszej uwagi.

Na dużych połaciach nieuprawianej od setek lat ziemi, na łagodnych zboczach wzniesień, między winnicami i plantacjami pomarańcz, na obszarach, na których w czasie trzymiesięcznej pory deszczowej rośnie bujna trawa, a w czasie dziewięciomiesięcznej posuchy hula gorący wiatr, obecnie są rozbite obszerne, ciągnące się w nieskończoność obozy wojskowe — brytyjskie, polskie, amerykańskie, hinduskie i greckie. Zdala od dróg, na polowych lotniskach, można dostrzec sylwetki potężnych bombowców...

Oto jest powierzchniowy obraz Palestyny w dobie obecnej...

Nasz obóz rozciąga się w gołym stepie, na którym ledwie widać tuż połówka trawa. Słońce pali nielitościwie. Rozpalone powietrze drga. Zarysy położonych daleko na wschodzie gór także zdają się poruszać. Gdy się spojrzy na zachód, można dostrzec granatowy pas Morza Śród-



Najmłodsi koledzy

ziemnego. W godzinach południowych wszelkie życie ustaje. Tylko jaszczurki korzystając ze spokoju, wylażą z rozpęknięć w ziemi, aby rozpocząć łowy na owady. Czasami na skraju szpary można dostrzec straszliwego szarego skorpiona...

Po szosie, która przepoławia obóz krążą Arabi i krzykają: "dobra winogrona" lub: "arbuz, arbuz" zachęcając do kupowania owoców, wspaniałych zresztą, pełnych słodyczy i aromatu.

Obóz sam — to porozrzucane na wielkiej przestrzeni namioty i baraki, rozbite w pozornym bezładzie, bez troski o jakiegokolwiek regularne linie. Bombardowanie takiego obozu to marnowanie bomb i sprzętu. Między poszczególnymi namiotami jest do stu metrów odległości. Życie nie ma tych wygód, co gdzieś indziej, mimo to jest miłe i przyjemne. Między barakami i namiotami są porozrzucane łazienki z doskonałymi prysznicami. Każdy obóz posiada kino, w którym są wyświetlane najnowocześniejsze filmy angielskie i amerykańskie. Poza tym w każdym obozie jest kilka suto zaopatrzonych sklepów NAFFI. Czego jednak naprawdę brak, to prasy — dobrej polskiej prasy. Tutejsza prasa jest dopiero w stadium początkowym i jest raczej tylko źródłem informacji i to skąpy. Przysłało by się, aby "Polska Walcząca" docierała tu bodaj w minimalnej ilości egzemplarzy na oddział, lecz w ciągu 10-12 dni od chwili ukazania się numeru.

Poza tym o życiu w obozie można powiedzieć "byczo jest," nie tak byczo jak tam, gdzie nas nie ma, ale zawsze byczo. Śpi się po kilku, a jeżeli chodzi o niższe szarże po kilkunastu w jednym namiocie lub baraku. Aby dostać osobny pokój trzeba być wysokim obozowym "dygnitarzem." Jakiegokolwiek ćwiczenia w polu są możliwe do godziny 9-ej, a najwyżej do 10-ej; potem skwar zabija wszelką chęć nie tylko do pracy fizycznej, lecz nawet do myślenia. Ten marazm trwa do godziny 4—5-ej popołudniu, poczem gdy upał ustaje, człek na nowo jest zdolny do ruszania i mózgiem i członkami. Jedzenie w obozie jest dobre. Jest dużo jarzyn i ołbrzymia ilość winogron, kawonów, śliwek, moreli i brzoskwiń.

Noce są udręka, szczególnie dla

"nerwowych," przyzwyczajonych do szkockich "billetingów," gdzie poczciwa, pani domu kładła do łóżka butelkę z gorącą wodą. Teraz facet, przed położeniem się do połowego łóżka /o ile mu to łóżko przysługuje/ musi je dokładnie przetrzepać i wyprosić z niego myszy polne i karaluchy wielkości małego palca ręki. Ci zaś, którzy śpią w namiotach, na siennikach, położonych na gołej ziemi, winni sprawdzić, czy pod siennikiem nie ma jakiegoś owada lub płaza. Należy jednak stwierdzić fakt, że gdy łóżko jest ostatecznie zajęte przez właściciela, stworzenia się już do niego nie zbliżają. Jako tako spokojny sen jest możliwy tylko wtedy, gdy nad łóżkiem jest rozwinięty "mosquito-net" — siatka przeciw komarom. W przeciwnym razie człowiek budzi się całkiem pocięty i wygląda jak jeden duży bąbel. Obecnie siatka taka wchodzi w skład wyposażenia połowego każdego żołnierza na *Middle East*. Na komary to wystarcza. Lecz karaluchy, które są bardzo ciekawe, przy swej inteligencji potrafią przedostać się do łóżka, o ile siatka nie jest dość szczelnie podwinięta pod siennik i wtedy zaczynają /nieszkodliwie zresztą/ podmaczać człowieka swymi długimi wąsikami.

Wtedy facet — szczególnie o ile jest delikatny — obudzony się i przekończy, że to nie jest szkocka butelka, lecz coś żywego, z histerycznym wrzaskiem wyskakuje z łóżka i do świtania idzie obserwować wspaniałą, śródziemnomorską, gwiazdzistą noc. Jeśli jest miłośnikiem piękna, nie marnuje czasu. Ciemno fioletowe niebo literalnie kapie złotem. Okolica jest zalana jasnym seledynowym światłem księżycowym. Mleczna droga, jak wstęga matowego srebra przecina sklepienie. Od czasu do czasu meteor przeświec cichą noc i na chwilę wśród ciszy napelnia przestrzeń oślepiającym światłem. Wtedy można widzieć całą okolicę z najdrobniejszymi szczegółami na odległość kilku kilometrów. Najrozmaitsze myśli powstają wtedy w głowie. Siedem brylantowych gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy jak gdyby mówi: "Tam. Tam jest Polska." "Tam cały Naród cierpi." Namioty skapane w seledynie mówią: "Jesteś w prawdziwym wojsku."

To też nasze wojsko tutejsze

Najmniejsi przyjaciele



— "A rodzice gdzie?"  
Smutek przeleciał przez twarze chłopców...

— "Mamusia umarła w Rosji"  
— cicho odpowiedział starszy.

— "A tatuś?"

— "Tatuś zginął w Warszawie".  
Po chwili chłopcy znikli w bramie Jaffskiej idąc "do domu". Tak oto mniej więcej witają się Polacy na tutejszym terenie i takie mniej więcej potem następują rozmowy. Nie ma rodziny która by przyjechała w całości. Rodzice pogubili dzieci, dzieci przyjeżdżały jako sieroty bez ojca i matki. Cała ta masa ludzi powoli dopiero przychodzi do siebie. W naszym oddziale służy starszy już żołnierz. Człowiek ten stracił w Rosji żonę i pięcioro dzieci. Pozostał sam jak palec Boży. Jest cichy, spokojny i zacięty. A ilu takich jest? Nie sposób tego przeliczyć.

Junacy są umieszczeni w specjalnym obozie. Stan liczebny tego obozu dawno już przekroczył liczbę czterocyfrową; nowi zaś chłopcy wciąż przybywają... Obóz jest urządzony wzorowo. Są kompanie przedszkola, szkół powszechnych, kompanie kadeckie oraz kompanie małoletnich — przyszłych podoficerów zawodowych. Niestety dzieci te widziały zbyt dużo zła. Praca nad nimi jest ciężka... Z pomocą jednak przychodzi głębokie poczucie przynależności narodowej tych dzieci i wielki ich patriotyzm.

Na skraju niedawno powstałego wesołego miasteczka handlowego, ciągnącego się długim sznurem czystych will, kantorów i magazynów, pochowanych wśród palm, kaktusów i krzewów agawy, między zagajnikami cyprysów i polami winnej latorośli powstał inny obóz. Obóz Pomocniczej Służby Kobiet. Gwara wojskowa już zdążyła nadać kobietom będącym w tej służbie nazwę "Pestki." Obóz "Pestek" jest także wielki i jego stan liczebny także dawno już przekroczył czterocyfrowkę. I do niego wciąż przybywają nowe kobiety, które nazajutrz przeistaczają się w "Pestki."

Są umundurowane na wzór angielski. Wszystkie przechodzą coś w rodzaju przeszkolenia rekruckiego, poczem albo idą do prac kancelaryjnych do sztabów, albo obejmują niektóre działy służby gospodarczej lub też specjalizują się w poszczególnych gałęziach czystej służby wojskowej, jak łączność, prowadzenie pojazdów i t.d. lub wręcz idą do szkoły oficerskiej. Do tej szkoły jednak trafia tylko bardzo mały procent kobiet, mianowicie te, które mają maturę.

Karność w obozie jest zdumiewająca. Po prostu nie do uwierzenia, że te kobiety, które tak dużo przeżyły, a nieraz potraciły swych najbliższych, potrafiły w tym stopniu opanować siebie. Wystarczy powiedzieć, że kobieta ze Służby Pomocniczej jest wzorem żołnierza i to pod wielu względami. Polka potrafiła być wzorową gospodynią i matką swych dzieci, teraz po stracie tego, do czego jest powołana, stała się wzorowym bojownikiem o Wolność...

Niedługo już, a okres upałów powoli znacznie przemijać. Niebawem nastąpi najpiękniejsza pora roku, podobna do naszego maja lub początków czerwca. Zakwitną różę i dojrzeją pomarańcze...

Od czasu do czasu można już dostrzec przylatujące bociany i jaskółki...

Pomyśleć tylko. Niejeden z tych "kluczy bocianich lecących na południe, z których sporo pozostaje tutaj, aby wśród nas przezimować, — przyleciał wprost z Polski. Niejeden z tych kluczy zebrał się gdzieś na łąkach Polesia, Mazowsza, Wileńszczyzny i tak niedawno — bo przed kilku dniami — opuścił rodzimą strzechę polską...

Słońce jak zwykle krwawo chyli się ku widnokręgowi. Na rozżarzoną ziemię spada powoli lekka fioletowa mgła. Między namiotami i wśród baraków zaczynają bezszelstnie latać nietoperze, rysując w zapadającym zmroku zygzakowate, tajemnicze linie. Arabi zlażą z wielbłądów i obracając twarze w kierunku Mekki, kornie schylają się ku ziemi wznosząc modły do Allaha.

W naszych obozach słychać: "Boże coś Polskę," a potem "Nie rzucim ziemi skąd nasz ród."

ARNOLD JASKOWSKI

# DZIWY NIEBIESKIE W TOBRUKU

Utwór ten jest wynikiem moich rzeczy-wistych przeżyć i przemyśleń. Obserwacja gwiazd skracala mi długie i nużące noce czuwania na froncie w pustyni.

Kolegom z Kampanii Libijskiej utwór ten poświęcam.

## ZODIAK

Zmęczony trudem dnia, przygnębiony tłumem cisnących się pytań zasnąłem na postaniu w schronie. We śnie, ktoś kto mnie kiedyś kochał, a dzisiaj leży w grobie, odkrył mi prawdę, co się kryje w znakach zodiaku ciężących nad obłożonym miastem.

Zrozumiałem wtedy, że Baran znaczy: "głową muru nie przebijesz," że Byka tu mnóstwo w czerwonych, blaszanych puszkach, i że Bliźnięta zostały głodne w Kraju. Pojąłem, że Rak wyobraża ludzi, którzy tutaj czują się jak raki, a Lew w powietrzu weszły krew. Panna jest tylko na niebie, bo panien pięknych i strojnych tu nie ma. Tu nie ma w ogóle kobiet. Waga ukazuje się nad miastem, bo tu się waży losy ludów. Skorpion żądło śmierci nad twierdzą nachyla, a Strzelec to ja. Koziorożec znaczy, że tędy przechodzi zwrotnik mego życia a Wodnik jest częścią pustki. Dwie Ryby zaczarowane płyną po ogromnym morzu. Jedna ma wypłasięte, krwią nabiegłe oczy. Na który okręt popatrzysz, ten zatoni. Druga Ryba ma oczy wyblakłe i zmęczone. Pro-wadzi drzące i przestraszone okręty przez zakłete złoza minowe, wśród stad chyżych torped. Szczęśliwi, których wiedzie Ryba z wyblakłymi oczyma; niech odpoczywają w pokoju ci, na których okręt spojrzala ryba śmierci.

## WĄŻ

Przez strzelnicę w okopie wcisnął się chytry Wąż. Szeptal do mnie sycząc, że nie warto żyć, że nadzieja to gonitwa złudnych wyobrażeń, że wiara to naiwna pewność nieprawdy, że miłość to słowo rzucane na wiatr, że na świecie wszystko jest kłamstwem. Mówił długo i zdawało się, że mówi mądrze, jak stary, doświadczony przyjaciel. Gdy Wąż zniknął wśród kamieni, w okopie prócz pustki i mnie nie było nikogo.

## SMÓK

Potem przyszedł straszny, ognisty Smok i chciał mnie przerazić dymem i żelazem. Ogień i stal buchały mu z paszczy. Za nim stąpało widmo śmierci i szeleściła głucha susza krwi pomieszanej z piaskiem i grozą czających się min. Skurczyłem się, utuliłem się we wnek okopu i czekałem, aż smok odejdzie.

## HYDRA

Z morza, o tak cichej, rzadkiej godzinie wychyliła się oszklona głowa Hydry pamiętek. Potwór lepki językiem belkotął słowa kłamliwe: "Twój świat zatonał. Nikt już nie wydobędzie go z głębin. Widziałam na rafie morskiej roztrzaskaną nawę twej ojczyzny. Przypomstam ci stamtąd garść wspomnień. Mewy tylko latają nad rozbitym okrętem. Ryby pływają wokół ciężkiej, kowanej skrzyni. Woda powoli przedostaje się do wnętrza. W tej skrzyni mieszczą się dni jasne i słoneczne, zapakowane na daleką drogę."

## KRUK

Kruk przyleciał i kłamał, że pomarli moi najbliżsi i że w domu nie ma nikogo. Kruk zniknął, a czarny cień jego skrzydeł jeszcze długo wólczył się po pustyni.

## GWIAZDA ZARANNA

Przed świtem ukazała się Gwiazda Zaranna. Może Ona w kilka minut po moim świecie zabłyśnie nad Jasną Górą... — Gwiazda Zaranna—Pocieszycielka Strajonnych—Królowa Polskiej Korony...

## OPHINCHUS

Nad głową czarнокsiężnika Ophinchusa przeleciała wielka, czerwona rakietka i długo świeciła nad ziemią. Wiedząc, iż żła to wróżba, Ophinchus, stary zaklinacz węży, zakrył się chmurami i wichrąm za-dął we flet czarodziejski... Artyleria zaczęła strzelać.

## HARMONIA SFER

Gdy Harmonia Sfer cichnie na chwilę, słychać dziewiąty, nowy ton nieśmiertelnej gamy: warkot silnika wśród ciszy międzyplanetarnej.

## CANES VENATICI

Wśród pól minowych, po omacku szukając min i węsząc ślady wroga posuwał się patrol.

## CENTAUR

Centaur wychylił się zza południowego wzgórza. Pół-człowiek, pół-zwierzę — dziecko baśni greckiej. Przypominam sobie, jak ktoś mi kiedyś mówił, że w zwierzętach jest coś ludzkiego, a w ludziach coś zwierzęcego, coś z bestii.

## BOOTES

Bootes, wieśniak grecki, swój ptąg pracowity postawił a sam usiadł na miedzy. Z góry spogląda i dziwi się, dlaczego ta ziemia niezaorana, dlaczego jej nikt nie nawodni, dlaczego schną niepodlewane



zdobit Stefan Osiecki

gaje w wozach. I dziwi się wytrwa-łości Wielkiego Żniwiarza, co na tym pustkowiu przez cały rok zbiera soczyste kłosy życia.

## DELFIN

Konstellację pogańskiego wy-bawcy Oriona nazwano trumną Joba. Trumna Joba to symbol śmierci patriarchalnej, która jest przejściem, wśród błogosła-wieństw synów i wnuków, z zacisznego pokoju do Pokoju Wiecznego.

## LIRA ORFEUSZA

Orfeusz zstąpił do piekieł szukać swej najmilejszej. Gdy przepływał przez Rze-kę Zapomnienia, czar rzeki był tak silny, że lirę zostawił na brzegu. Wszystko mu uszło z pamięci. Nie zapomniał tylko imienia ukochanej. Błąka się nieszczęsny po Piekiłach i znaleźć jej nie może. Nie może wplaw przebyć Styksu a liry nie ma. Nie ma czym obtaskać bestyj. Śmieją się Moce Podziemne. Szatan Lirę na nie-bie zawiesił a wiatr pustynny nie umie grać na niej. Orfeusz błąka się po piekle. Lira zapomniana. Nie ma Eurydyki.

## KORONA PÓŁNOCY

Pod sklepieniem nieba wisi wspaniała korona... Nie królewskie to godło. Nie symbol władzy otaczający skroń namaszczonej... To cudowny, słubny wieniec za-pomnianej, opuszczonej Ariadny. To dar miłości bożka Dionizosa, ofiarowany jej dla upamiętnienia rozkoszy, co się prze-dłuża w nieśmiertelność.

## ALGOL—OKO DEMONA

Przez dziurę dachu z desek patrzano na mnie Oko Demona. Zastonięciem dziurę szmatą. Na wietrze szmata się porwała, rozdarła się na dwie połowy, jak kiedyś zasłona w świątyni.

## PERSEUSZ I ANDROMEDA

Pustynia pod sklepieniem nieba. Gwia-zdy błyszczą, ale są bardzo dalekie.

# WIEKSZE



## IMIE TEJ WOJNY

Nazwijcie ją jak chcecie, Straszna czy Obłądka, Wojną Maszyn, Narodów czy Ras. Wszystko jedno, Gdyż mam już dla niej imię, co z każdą godziną Potwierdza się w tęsknocie: to Wojna z rodziną...

## SAMOTNIK

Bóg w Trójcy swej rodzinny, sprzyja ludzkim gniazdom. Raczej, niż o narodach, mówi o Rodzinie—Szatan jej nienawidzi—zdeptać chciałby każdą.

—Posepny, jak zły poeta, O "wielkości" rozprawia z ciemną swoją gwiazdą...

## ŻYCZENIA

Więc już nie teraz, ale wiosną albo latem, Nie sankami do domu, nie pod białe strzechy! Raz jeszcze ten zamglony podzieliłmy opłatek, Z uporem powtarzając coroczne pociechy: "Na Wielkanoc!—Najpóźniej—na Zielone Świąta!"

## GWIAZDA ODKRYTA W 42 ROKU

Zapomną, Stary Roku, żeś zabijał, głodził, Ale pamiętać będą, żeś gwiazdę urodził; Widać ją wcześniej rano. Z wieczności wytkuta,

o tym/, jak Herkules przął nici u stóp prześlicznej Omfale. Dosłyszał Tytan niedomówiony szept. Rzucił kawałek roz-palonego żelaza między puszek i benzyną. Twarz, dobrotliwa, szeroka twarz obrzy-ma znikła w kłębowiskach dymu. Jeden z żołnierzy — robotników, imieniem Filoklet, płakał, bo Herkules zapomniał mu dać kołczan, ów legendarny kołczan pełen zatrutych strzał.

## KASJOPEA

Dwie gwiazdy lśnią najpiękniej pośród klejnotów królowej Kasjopei: Schedir i Kaph. Arabowie mówią, że Schedir znaczy serce a Kaph malowaną rękę... serce, zapiaszczone serce i rękę, rękę wzorzyście malowaną krwią.

## STRZAŁA

Tej strzały nie puścił swawolny Kupi-dyn. To jest zabłąkana strzała dla nie-znanego żołnierza.

## ORION

Patrzeliśmy razem, przyjacielu, na Miecz Oriona, potężny miecz, wiszący nad światem. A teraz jesteś na Tamnym Świecie. Wzrokiem spokojnym spoglą-dasz stamtąd na Krzyż Oriona—świeta-ny symbol zwycięstwa nad śmiercią.

## SIEDEM SIÓSTR

Na firmamencie, jak pociecha, jak umocnienie w wierze, że nie wszystko jest podłe i nikczemne, ukazuje się Siedem Sióstr. Są to dusze siedmiu dobrych Sióstr Miłosierdzia, co zginęły od bomb. Płaczą nad każdym umartym. Modlą się nad każdą świeżą mogiłą. Pociągają ka-leki i rannych. Jeszcze zostało nam coś, za co warto się bić, dlaczego warto ginąć... Zostało nam Siedem Sióstr, troskliwie schylonych na nieboskłoncie.

## WILK

Zabłąkał się na niebie Wilk, choć tutaj wilków nie ma. Ślepia na mnie wyszcze-rza świecące. Wraca mi strach dziecin-ny z opowiadań o jarzących się wilczych oczach i o ludziach zakłętých w wilki, o upiornych wilkotakach.

## ZAJĄC

Nad samym horyzontem, w zaroślach nad brzegiem Eridanu, Zajęc się ukrył lekliwie przed wzrokiem myśliwych. Przede mną się nie chowa, bo wie, że nie jestem myśliwym i nie zrobię mu nic zle-go. Wie, że lubię się przyglądać jego la-godnym ślepkom. Przypomina mi tego zajęca, który za dawnych, dawnych lat przynosił mi, w rozsloneczniony poranek wielkanocny, tekturowe, malowane jako napelnione takociami. Nie widziałem go nigdy, bo wkładał mi je do buta, kiedy jeszcze spałem, ale matka opowiadała mi dużo o tym pocziwym zwierzątku.

## ASELLI

Bardzo lubię patrzeć na te dwie prawie niedostrzegalne gwiazdki, na dusze za-klęte dwóch pobożnych osiołków kłęzą-cych przed świętym Żłóbkkiem.

## WIELKA NIEDŹWIEDZICA

Wielka Niedźwiedzica układa się do snu zimowego. Naznosiła sobie do nory mnóstwo puszystych, miękkich mglawic. Czuje się bardzo senna.

Dochodzi mnie miarowy odgłos kroków wartownika. Słyszę, ktoś czai się od za-chodu i niebo zasuwa na rygiel. Wielka Niedźwiedzica karmi małą w ciepłej, mglawicami wymoszczonej norze.

W półśnie z daleka chwytam uchem jakieś szczekanie. Poznaje po głosie mego wiernego, Wielkiego Psa, który strzeże teraz mego opustoszałego domostwa.

## PĘGAZ

Ustyszałem tętent za horyzontem. To rycerze pewno jadą niebem, na mieczach niosąc wojnę. Znowu cisza... Przez firmament przeleciał Pegaz — skrzydła-ty koń bez jeźdźca — znak wojny.

## PTAKI

Powróciły Ptaki z daleka. Nie widzia-łem ich tak dawno. Przyleciał niemy Łabędź i Orzeł. Dziób Żurawia już widzę na niebie. Będą teraz przy mnie, będą przez czas niedługi. Wkrótce pofruną z powrotem, z powrotem skąd przyleciały, skąd ja przywlokłem się tutaj. Chciałbym polecieć z nimi. Chciałbym mieć orle skrzydła, pływać tak chyżo, jak łabędź i lot mieć podróży żurawia.

## OKRĘT

Na południowej części nieba widzę wy-dęty żagiel Okrętu, zwiastujący mi po-dróż daleką, daleką morską wyprawę.

## POST SCRIPTUM

Było wiele, wiele znaków na niebie, których nie mogłem zrozumieć. Patrza-łem na nie z ufnością, lub czasem z prze-rażeniem. Może to dusze kolegów jako gwiazdy błyszczaly na niebie. Nie by-łem ich w stanie rozróżnić oczyma lornet-ki polowej.

MARIA PAWLKOWSKA

BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI

# TU JEST POLSKA

## OSOBY:

ANNA ŻARNOWSKA  
 JAN ŻARNOWSKI  
 KOLYŃSKI, ojciec Anny  
 WOJTEK, brat Anny  
 ZYGAR  
 ZYGAROWA  
 MARCINEK, syn Zygara  
 LUZANKA  
 WANDA, córka Lużanki  
 MARIA JACKOWSKA  
 ANTONI  
 1, 2, 3, 4, 5, 6—Männer  
 1, 2—SS-Männer  
 PUKOWNIK FLICKE  
 KAPITAN  
 PORUCZNIK OTTO WOHLFAHRT  
 PORUCZNIK  
 ADIUTANT  
 KAPRAL GRASSER  
 ŻOŁNIERZ  
 DWAJ MĘŻCZYŹNI

Rzecz dzieje się w polskim mieście prowincjonalnym pod okupacją niemiecką!

## AKT I.

Pokój, który był kiedyś jadalnią. Teraz tylko kredens i duży stół świadczą o jego pierwotnym przeznaczeniu. Wzdłuż ścian ustawiono trzy łóżka, plecak, kuferki, toboły ułożone w jakimś takim ładunku, są dobytek uchodźców.

ANNA krząta się nerwowo, nie mogąc dłużej wytrwać przy żadnym zajęciu. Otwiera kredens i coś w nim przesiewa, ustawia. Potem idzie do małego stolika pod oknem i wyjmując z szuflady jakiś sztycy, abychy co rychnie odłożyć z powrotem. Podchodzi wreszcie do stołu, nad którym pali się lampa pod dużym kloszem. ANNA siada i usiłuje czytać, ale i książka nie może zatrzymać jej uwagi.

Dzwonek w przedpokoju. ANNA drgnęła i jakby zastanawia się: otworzyć — nie otworzyć? Idzie jednak do drzwi. Za chwilę wraca z LUZANKĄ. ANNA wskazuje mu krzesło, żeby usiadł.

LUZANKA: Szezelne u was okienne. Ani promyka światła nie przepuszczają. I tak wieszcie robicie noc. Na dworze prawie jasno. Śliczna pogoda.

ANNA /zdawkowo/: Tak, pogoda piękna. LUZANKA /kontynuując/: Z powodu tych zamkniętych okien nie ma wrażenia niezamieszkanego. Można powiedzieć — niemile wrażenie. Ale ja wiedziałam, że pania zastane.

LUZANKA: Wiedział pan? ANNA: Wiedział pan? LUZANKA: Dawniej o tej porze pani Anna zawsze na jakimś zebraniu. Wiadomo — pani Anna w pięciu, czy nawet więcej organizacjach. Plaga społecznej pracy. /Śmieje się./ Każdy musiał należeć do jakiejś organizacji. Prezesi, wiceprezesi — ambicje, zaskiwanie się — odznaczania, wyróżnienia. Prawda? Teraz wszystko ustalo — i cóż? Domu trzeba pilnować. Pani sama?

ANNA /czujnie/: Sama, jak pan widzi. Ojciec na bridżu u Jackowskich. Lokatorzy, gdzie komu wypadło. Brat u kolegi.

LUZANKA: U kolegi — u mnie to samo. Moi chłopcy gdzieś ciągle poza domem. Tak, tak. Dzieci nasze naproczą się za całe życie. Ale od września mają otworzyć szkoły.

ANNA: Podobno. Z nowym programem. Szkoły średnie mają być wyłącznie zawodowe. Bo po co Polakom inteligencja? Uczonych, profesorów wyrzucili.

LUZANKA: A ja mówię: dobrze, że dzieci pójdą wreszcie do szkoły. Bezczytność demoralizuje. Inteligencja — prawda — ucierpiała. Ale można i tak sobie wyprowadzić, że przerosł inteligencji nie jest zdrowy dla struktury społecznej. Nauczmy się pracować w innych dziedzinach.

ANNA: Według pana — szkoła dla wszystkich. Uczą nas, wychowują. Oni! LUZANKA /wymijająco/: Zrazu nie będzie łatwo naszym dzieciom. Wziąłem korepetytora, żeby przez lato podczyli się niemieckiego. Może i bracięszki pani przyłączy się. Będzie taniej kosztowało.

ANNA: Dziękuję. Wojtek już się uczy. Mamy przecież w domu uchodźców ze Śląska.

LUZANKA: Prawda, że u państwa ci ślązacy. Ciasno teraz u was.

ANNA: Jakoś się mieścimy. LUZANKA: Rozumiem, ale lepiej byłoby, gdyby tu nie mieszkali. /Ciszej./ Coś już do nich mają, do tych Żygarów.

ANNA: Proszę pana, do kogoż oni "nie mają"? Wszyscy jesteśmy podejrzani, jak nie dziś, to jutro, to już za godzinę! A Żygarowie ślązacy. Wystarczy.

LUZANKA: Należy się wstrząsnąć przesady. Spokojnych zostawiają w spokoju. Ojciec pani, jak przedtem, na swojej buchalterce w browarze. Ja tak samo, na tym samym krześle, przy tym samym biurku w banku.

ANNA: Mówiliście o Żygarach. LUZANKA: Właśnie. Lepiej było by, gdyby się od was wyprowadzili. Pani nie chciała posłuchać mojej rady, żeby kogoś

— z nich na kwatery. U mnie mieszka komendant miejscowego Gestapo i doprawdy nie mogę narzekać. Przygnał do nas jak do rodziny. Przysługi, prezenty.

ANNA: Co kto lubi. Ja szczęśliwa jestem, że mnie ominął taki przyrost rodziny.

LUZANKA: Pochlebiam sobie, że to poniekąd moja zasługa. Robilem co mogłem i dzięki dobrym stosunkom z moim Niemcem udało mi się to, że wam nikogo nie dali. Pani wie przecież, że dla was — za wszystko dobre, którego od was zaznałem — Umieć być wdzięczny. Ale z przyjaźni radziłem — przyjąć Niemca. Pani się uparła.

ANNA: Uparłam się. Widziałam przecież, jak to jest. Nie daleko szukać w najbliższym sąsiedztwie, u Wilkońskich. Cała rodzina zepchnięta do małego pokoiku. Wywany, obrzyzy, srebro, kryształ, porcelana pojechały na zachód. Wilkońscy muszą milczeć, bo syn w obowiązkach, bo lokator — figura.

LUZANKA: Nie przeczę, że Wilkońscy mają kłopot z lokatorem. Ale sami sobie winni. Stawiali się. Wilkoński zawsze był taki. Butny, arogancki. I wobec swoich nie inaczej. Siedzieliśmy przy jednym biurku w banku. Tak — naprzeciw siebie. Znam tę naturę na wylot. Ani wyrozumienia, ani uległości.

ANNA: Wilkoński — butny. Ale o Mireckim nie można tego powiedzieć. Uległ dał się wyrzucić z mieszkania. Uległ, cichutko tuła się z rodziną i przyziębieniem.

LUZANKA: Przynajmniej, że Mireckim stała się krzywdą, ale ktoś to twierdzi, że warunki są normalne. To okupacja — proszę pani. To — wojna. Pobito nas. Musimy cierpieć. Powiem inaczej: musimy się starać jak najmniej cierpieć.

ANNA: Prawie zgadzam się z panem. Ale tylko w tym jednym, że musimy się starać.

LUZANKA /gest zniecierpliwienia/: Ja nie o tym. Z czym innym tu przyszedłem. Z ostrzeżeniem.

ANNA: Słucham. LUZANKA /prawie szepcąc/: Radzę mieć się na baczności. Za dużo ludzi u was bywa. Swoich — tutejszych, obcych.

ANNA: Obcych? LUZANKA: Powtarzam to, co obito się o moje uszy.

ANNA: Informacje kłamliwe. Nikt obcy u nas nie bywa. A zresztą — co to znaczy: obcy? LUZANKA: Proszę nie udawać, że pani nie rozumie.

ANNA: Rozumiem. Obcy jest właśnie uprzejmy lokator pana. Takich u mnie nie ma.

LUZANKA: Pani jest złośliwa, ale mnie to nie uraża. Przyszedłem jak przyjaciel w dobrej, życiowej myśli. Przecież narząm się — pani to chyba uzna, że się narząm.

ANNA: Uznaję i jestem zobowiązana. Tylko nie wiem, co począć z pana ostrzeżeniem.

LUZANKA: To pani sprawa. Choćby takie zamknięcie okien nie prawie za dnia — czy to rozsądne? Czasą są niebezpieczne.

ANNA /ironicznie/: Właśnie dlatego, że czas niebezpieczny — zamakam wiesznie okienne.

LUZANKA /dobrotliwie, po ojcowski/: Kobięto, kobięto! Z kim chce się pani zmierzyć? Z — nimi? To śmieszne, to dziecinne. Moja córka — jej się nie dziwię, bo ma piętnaście lat — moja Wandeczka także: A na złość, a figła spłatać! I tu przydałaby się męska rozważa. Szkoła, że maż pani. . . Przepraszam. Dotknąłem rany. . . Żadnej wdziękosi?

ANNA: Żadnej. LUZANKA: Przez Czerwony Krzyż próbowała Pani? Jedził jest tam — w Anglii to i tak nie do siebie się pani.

ANNA /twardo/: Nie dowiaduję się. LUZANKA: Ach, droga pani — kiedy pomyśle, gdzie ta wzburzona fala zaniósła naszych! Rozpierzchli się na wszystkie strony świata. Tulaczka, poniewierka. I mówią, że biją się dzielnie. Biją się — to znaczy, że i giną. Znowu powiedzieliem coś, co rozdrapuje rany. Przepraszam.

ANNA: Niech się pani nie kępuje. Ja jestem spokojna.

LUZANKA: Nie wierzę, ale jestem pełen podziwu. Dla pani, dla innych. Nie wiecież nic o swoich najbliższych — to męka i ból. Moim zdaniem trzeba było zostać tu, na miejscu. Warować. Strzecz swoich domów i mienia. A zrzucać do wszystkiego i samym na poniewierkę, na zatrącecie.

ANNA: Nie podejmę dyskusji na ten temat. Zresztą my — zostaliśmy.

LUZANKA: Tak, my zostaliśmy. Tylko, jak są tacy, którzy i tu na miejscu nie tak, jak trzeba. . . Potem cierpią wszyscy.

ANNA: Nie wszyscy. Pan nie cierpi przecież za winy innych.

LUZANKA: Nie spowiadałem się nigdy i nikomu z tego, co czuję. Kiedy stało się to nieszczęście, postanowiłem nie sprzeci-

wiać się złu. Strzec domu mego i mojej rodziny — oto wszystko.

ANNA: Wraca pan do porzuconego tematu. Więc powiem: jest nas tu pozostałych w kraju — miliony. Wszyscy nie mogli przecież emigrować i nie należało tego czynić. Tu jest Polska. Jesteśmy u siebie, we własnym kraju. I o tym właśnie trzeba pamiętać — że i siebie.

LUZANKA: Pięknie to pani mówi. Tylko, że ja bez mrzonek, bez horoskopów, bez wróżb. Ja zwyczajnie. Tu jestem i nawet cień mój jest wyraźny.

ANNA: Cień? Pan roztoczył czujność i nad własnym cieniem? To już sztuka wyższego rzędu.

LUZANKA: Radzę robić to samo. Myśleć realnie i nie ścigać nieszczęścia. Na swoich. Powiem nareszcie: ojciec pani jest na liście nowej serii zakładników.

ANNA /nie może ukryć wzburzenia/: Pan czytał? LUZANKA: Tak. Czy nareszcie pojeła pani niebezpieczeństwo? Niech by się — Boże broń — coś stało. . . Odpowiedziałność.

ANNA /głucha/: Wiem, /opanowując się w gorzaku. LUZANKA: Dalby Bóg, żeby było w porządku. Odchodzi. Spełniłem mój obowiązek, jak sądzę. A pani robi to, co chce.

ANNA: Raz szłam przez miasto. Wiesz jak to jest — jeden chodnik dla nas, drugi dla nich. Więc po ich chodniku kroczy młodzieńcze — w mundurze, dziarsko. Miał gładką, dziecinna twarz, jasne, wesołe oczy. Zdawało mi się — chłopiec, młody chłopiec. Aż tu na "jego" chodniku — stara kobieta. Nie wiedziała pewnie, że nie wolno. Chciała minąć i robiła to jakoś niezgrabnie — w prawo, w lewo. Młody, śliczny chłopiec pchnął starszuskę. Upadła, więc ją jeszcze kopnął.

JAN: Tem młody chłopak ma tylko ludzkie pozory. Potrafiąca stare kobiety, bije starców, trącając dzieci. Rabuje, morduje. Setki zbrodni ma na sumieniu taki chłopczek i dlatego nie ma prawa żyć. Zginie.

ANNA: Ci ludzie — to potwory — jak mój szpiz? Nie? To wejść.

JAN /reka obandażowana/: Ojciec jeszcze nie wrócił? ANNA: Jest u Jackowskich. Słuchaj — był u mnie Lużanka. Tylko co poszedł. Przyszedł wiadomości, że ojciec jest na nowej liście zakładników.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

temu straszliwemu, co się dzieje, my tu — razem.

JAN: Ale jakże inaczej! Kochana — nie gniewaj się. Mówię to, co czuję, a nie lubię wielkich słów. Mógłbym teraz deklamować o sobie, że tułacz, że bezdomny. Byłoby to może określenie właściwe, ale jak dla mnie — zbyt patetyczne i rozszalałe.

ANNA: Napewno, Janku. Ja także tylko najciszej, nawet przed sobą, myślę o twoim bohaterstwie.

JAN /prawie gniewnie/: Głupstwo! Takie słowo dziś, kiedy niemal wszyscy wyrastają ponad siebie! Mówiliśmy o ojcu — czy nie jest czymś w rodzaju bohatera? A Żygarowie? A Jackowscy? Kiedy bohaterów są miliony — nie ma bohatera.

ANNA: Chwilami wydaję mi się, że to, co robimy, jest rozproszona i nikła. Bo to trzeba być — czy ja wiem? — gromu, jednego uderzenia. Tak — masz rację. I ja już nie jestem ta sama. Nie wiedziałam dawniej, co to nienawiść. Budzą mnie w nocy krwawe sny.

JAN: Nasze sny spieszają się. Wyprzedzają wydarzenia. Nie można przecież beczynnie znosić tego, co się dzieje. Walka z Niemcami, to walka z — potworami, nie z ludźmi.

ANNA: Raz szłam przez miasto. Wiesz jak to jest — jeden chodnik dla nas, drugi dla nich. Więc po ich chodniku kroczy młodzieńcze — w mundurze, dziarsko. Miał gładką, dziecinna twarz, jasne, wesołe oczy. Zdawało mi się — chłopiec, młody chłopiec. Aż tu na "jego" chodniku — stara kobieta. Nie wiedziała pewnie, że nie wolno. Chciała minąć i robiła to jakoś niezgrabnie — w prawo, w lewo. Młody, śliczny chłopiec pchnął starszuskę. Upadła, więc ją jeszcze kopnął.

JAN: Tem młody chłopak ma tylko ludzkie pozory. Potrafiąca stare kobiety, bije starców, trącając dzieci. Rabuje, morduje. Setki zbrodni ma na sumieniu taki chłopczek i dlatego nie ma prawa żyć. Zginie.

ANNA: Ci ludzie — to potwory — jak mój szpiz? Nie? To wejść.

JAN /reka obandażowana/: Ojciec jeszcze nie wrócił? ANNA: Jest u Jackowskich. Słuchaj — był u mnie Lużanka. Tylko co poszedł. Przyszedł wiadomości, że ojciec jest na nowej liście zakładników.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak — to wymaga mocnych nerwów. ANNA: Biedny tato. . .

ANNA: Na jak długo mu jej starczy? Teraz te wydarzenia w okolicy. Obóz w Oświęcimiu jest przepelniony.

JAN: Nam nie wolno myśleć o skutkach. Może się coś takiego zdarzyć. . . Nie, nie będę miał żalu do ciebie, jeżeli mi nigdy tego nie wybacysz.

ANNA: Zaczekaj, nie mów mi więcej! Pozwól mi trochę zastanowić się, trochę przyzwyczaić się do tych myśli o tobie, ojcu, o nas.

JAN: Przyzwyczaić? Groza wpływa falą w nasze serca. A ta fala — nie drwiiżę to mnie, że wyrażam się tak obrazowo — ta fala wypiera z serca wszystko dawne. Dawne uczucia nasze są już tylko, jak cenne bibeloty. Nasze serca pęcznią teraz z bólu i nienawiści. A to wszystko razem — to jednak tylko miłość. Straszliwa, rozdzierająca miłość dla jedynego i wyłącznej sprawy.

ANNA: Ty już nie tylko to rozumiesz, ale i potrafisz. A ja, ja jeszcze trochę przy tych dawnych drobiazgach uczuciowych. Ty, ojciec — wasze bezpieczeństwo, wasze życie. Nie umiem i nie chcę wyzbijać się tego. Musiałabym was przestać kochać. Tak jak ty — mnie.

JAN: Czy mamy się sprzeczać o naszą miłość, Anno? Kiedyś takie licytacje uczuć były cudowną grą miłości. Dziś — jakże ciębie przekonają, że chciałabym, aby kiedyś na nowo zaczęła się ta gra. Czy naprawdę nie wiesz o tym, że jest jedynym człowiekiem, którego zatrzymałem w myślach, w pamięci? Jeżeli miałem kiedyś nadchodzić parokrotnie tęsknoty, to tylko za tobą. Zawsze jesteś blisko. Nie muszę cię szukać, bo widzę cię przy sobie.

ANNA /tulać się do Jana/: Ja to wiem — wiem. . .

JAN: Czekaliśmy raz przy torze kolejowym. Noc była ciemna i dżdżysta. W rowie, gdzie staliśmy, stwardniały śnieg kładł i umykał nam spod podszew. Zdało mi się, że w tym takt obrydliwa noc nie powinna przyjść do mnie. A jednak, kiedy tylko pomyślałem o tobie — przysłałaś. Miałas na sobie suknie nieodpowiednia na taką pogodę, bo te wieczorowo, błękitna, w której byłaś na ostatnich przed wojną imieninach Maryli Jackowskiej.

ANNA: Widzisz — przysłałam. I tak będzie zawsze. Tylko mnie przywołuj, przywołuj. . .

JAN: Ale ja odpędziłem wtedy ciebie brutalnymi słowami. Pociąg nadjeżdżał. Trzeba było wypełnić robotę. Okrutna, wojenna robota.

ANNA /powtarza/: Okrutna, wojenna — . . .

/Dzwonek/

JAN /cofa się szybko do swojej kryjówki/

/Teraz dzwonek dwukrotny/

ANNA: To ojciec! Pomylił się i najpierw zadzwonił tylko jeden raz. Zaraz mu otworzę. Możesz zostać.

/Ale Jan już nie słyszy tego, co mówi Anna, która wychodzi i po chwili wraca z ojcem./

Elżbieta Horodyńska: Kolednicy



KOLYŃSKI: Jaśminy tak pachną, jak gdyby im ktoś za to pacił.

ANNA: Zrobić herbatę? KOLYŃSKI: Dziękuję ci. Piłem u Jackowskich. Dali mi tu coś dla ciebie.

/Kładzie paczkę na stole./

ANNA /rozwiązuje paczkę/: Masło! Skąd dostał? Zrazu posmaruję chleb dla Janka i Wojtka. Wojtka muszę za godzinę złuzować. Siedzi w ogrodzie już dość długo.

KOLYŃSKI: A mały Żygar gdzie? ANNA: Nie wiem. Powinni już tu być i Marcinek i jego ojciec.

KOLYŃSKI: Dla Żygarowej jest gotowa paczka u Jackowskich. Ważne wiadomości. Zawołaj Jana.

ANNA /otwiera kryjówkę/: Janku — ojciec z nowinami.

/Jan wchodzi/

KOLYŃSKI: Dziś Niemcy rozpoczęli wojnę z Rosją.

ANNA: Co? Dziś? Już? KOLYŃSKI: Prawda, że pierwszorzędną nowina? Bez wypowiedzenia, według swego obyczaju.

JAN: Nowina ważna. KOLYŃSKI: Pieski gestapowe latają po mieście jak z pieprzem. A w mieście ulice puste, ani żywej duszy. Ludzie zamknęli się w swoich mieszkaniach i pewnie tak samo śpią, jak my. To znaczy krzyczą na cały głos: wojna, nowa wojna! Wojna w wojnie!

JAN: Nie należy krzyczeć. Jeszcze nie. KOLYŃSKI: Już ty mi nie mów! Zobaczysz, jakie z tego wynikną historie. Anglia pojedzie z Rosją. A my — zobaczysz! Inna konfiguracja — zobaczysz!

JAN: Nie zabieram głosu. Mam swój zakres pracy i swoich rozkazodawców. A te wielkie sprawy — nie do mnie należą. W Londynie jest nasz Rząd i nasz Naczelny Wódz. Tyle wiem, że nie dotąd nie ustalo w akcji i że tak będzie dalej. Sprawa polska ma swój dalszy bieg.

KOLYŃSKI: Powiedz prosto: dobra jest!

ANNA: Że też Lużanka nie mi o tym nie mówi. Zawsze się chwali, że ma wiadomości z pierwszej ręki.

KOLYŃSKI: Lużanka tu był? No — to już wiesz i to — o mnie.

ANNA: Wiem, tatusiu. KOLYŃSKI: Uwierzył się — trzeci raz mnie wyznaczał. A teraz akuratnie gorący czas. No, Bóg łaskaw, dzieci. A choćby inaczej. Nie jestem sam. Dwa dziesiątka nas. I Jackowski także.

ANNA: I Jackowski? KOLYŃSKI: Czekaj, gdzieś tu mam listę. O — jest. A zbójców było aż dwudziestu. Choć ani brody dilgu, ani kręcone wąsiska. Nie — jest i kilka z brodami, jako że są i Żydzi. Jackowski mówił mi, że onegdaj za Gajówką znowu dwóch Żydów powiesili. A wiesz, co się stało z Zosią Wilkońską? To, to wiesz, że przed dwoma tygodniami gdzieś znikła. Wczoraj rano wróciła — pokaleczona, nieprzytomna. Leży w szpitalu w agonii.

ANNA: Boże, Boże! Ta śliczna, miła Zosia! /placze krótko./

KOLYŃSKI: To jeszcze nie wszystko. Mają we wrześniu otworzyć szkoły, więc już trzech nauczycieli wywieźli

BILANS ROKU

Gdy z odległości roku usiłujemy spojrzeć na ubiegłe miesiące i wysnuć jakieś wnioski, pierwsze rozsądne pytanie będzie brzmiało tak oto: jakie zdobyliśmy zyski i ponieśliśmy straty w tym roku, jakie zadania zostały spełnione, a jakie czekają jeszcze spełnienia? Z odpowiedzi na te pytania wynika dopiero drugie pytanie: jaki przebieg wojna może mieć dalej, jakie są jej granice w czasie i przestrzeni?

Zyski nasze należy szacować w dwóch jakby działach czy grupach: zyski rzeczywiste i zyski niejako przez zaprzeczenie, uzyskane przez to, że wróg nie osiągnął tego, co zamierzał. Te zyski negatywne są niemniej ważne, aniżeli zyski "czyste".

Zyski negatywne wymienić można najłatwiej. Oto one:

1/ Armia niemiecka nie zdołała rozbić wojsk sowieckich; ofensywny niemiecki nie uzyskał swoich celów i zamierzeń ani pod Moskwą, ani pod Stalingradem, ani na Kaukazie. "Wehrmacht" wykrwawia się dalej w Rosji, a propaganda niemiecka mówi o Sowietach w tonie coraz to bardziej ostrożnym. Ostatnio "Frankfurter Ztg." wspominała, że "wojna z Sowietami to sprawa lat."

2/ Luftwaffe utraciła przewagę lotniczą: nie panuje już dzisiaj ani nad kontynentem Europy ani poza jego obszarem. Jest ona dalej silna w punktach koncentracji, jest zdolna do niebawome szybkiej przestawienia tych koncentracji, ale okres jej bezkarności minął.

3/ Niemieckie okręty podwodne, jakkolwiek zadaty i zadają ustawicznie poważne straty naszej żegludzie, nie uzyskały rozstrzygnięcia, a wyścig między topieniem tonażu, a budową nowych jednostek coraz bardziej wygrywaną jest przez stocznię sojuszniczą.

4/ Porażki państw osi przyniosły wyraźne osłabienie ich wpływów, co odbija się zarówno na stanowisku krajów neutralnych—wyraźnie nabierających odwagi—jak i w stanowisku państw walczących (Japonia nie uderzyła dotychczas na Rosję).

5/ Ujarmiona Europa nadal zachowuje postawę nienawiści wobec Niemiec, wobec niemieckiego "nowego ładu." Próby te ucząć należy dzisiaj za zbankrutowane. Poczucie solidarności Europy ujarmionej wzrasta. Ośrodki oporu zbrojnego mnożą się.

Oto pięć naczelnych zysków, uzyskanych przez to, że wrogowie nie powiodły się jego plany i zamiary. Jest to bardzo poważna lista, która dowodzi, że r. 1942 zanotowany będzie przez dzieje jako nader doniosły okres wojny.

A teraz zyski "czyste":

1/ Wejście do wojny Stanów Zjed. i niezwykłe szybkie "rozkręcenie się" amerykańskiej produkcji wojennej. Niemal dla wszystkich niespodzianką jest szybka mobilizacja amerykańskich sił lądowych, morskich i lotniczych. Po pierwszych uderzeniach USA zebrały się szybko do skoku. Cyfry, jakie naznaczył Roosevelt, będą osiągnięte z małymi chyba tylko niedoborami. A więc i lotnictwo wyprodukuje olbrzymie ilości maszyn—przy czym niektóre z nich, jak to zapowiedział świeżo, szef lotnictwa generał Arnold, będą iście straszliwą bronią. Także czołgi znajdują się w tysiącach masach na polach bitew, wojsko uzyska swoje nowe miliony rekruta, marynarka wojenna zasilona się nowymi jednostkami a miliony ton żeluzgi spłynęły na wody w stoczniach i dokach.

2/ Olbrzymi rozwój lotnictwa brytyjskiego, pokrycie całej W. Brytanii siecią lotnisk, przeistoczenie Wysp Brytyjskich w prawdziwy lotniskowiec, w bazę, skąd idą wyprawy bombowe na Rzeszę i na okupowany ląd Europy i ku Włochom, a nawet dalej, spadochroniarskie oddziały ku Afryce płn.

3/ Sukcesy w Libii i w Płn. Afryce Francuskiej, które nie są jeszcze doprowadzone do końca, ale dowodzą, że kampania afrykańska może być skończona w niedługim czasie, jeżeli rzucimy w nią wszelkie siły.

4/ Coraz lepsze wyniki armii sowieckiej, zasilanej sprzętem własnym, co dowodzi, że przemysł wojenny Rosji dalej działa i że będzie działał. Zdolność tej armii do wysiłków zaczepnych. Dopyły broni i wszelkiego sprzętu z krajów sojuszniczych do Rosji.

5/ Opanowanie położenia na Dalekim Wschodzie, zahamowanie parcia japońskiego, organizacja obrony Indii, mobilizacja sił Australii, stały wzrost sił amerykańskich na tym obszarze, rosnąca pomoc lotnicza dla Chin, które zamieniają się coraz bardziej w czynną bazę wypadową w kierunku lądu stałego Japonii.

6/ Zespalenie się strategii sojuszniczej, która coraz bardziej—choć dalej jeszcze niezupełnie i niedoskonale—planuje w wielkich liniach i rzutach. Na tym polu wiele jest jeszcze do zrobienia, a stworzenie Sojuszniczej Rady Wojennej wydaje się czymś nieuniknionym. Pierwsze kroki są dokonane. Również na polu politycznym sojusznicy coraz lepiej i ściślej współpracują, chociaż i tutaj jest jeszcze wiele luk, nieufności, różnic. Trzeba będzie najwyższego wysiłku, ażeby stworzyć tę wspólną myśl i czyn, bez której nie do pojęcia jest skuteczne wygranie tej wojny.

Oto najważniejsze zyski nasze w ciągu mijającego roku, które dowodzą, że energia, wola, uparta praca, organizacja produkcji—dokonałymi w roku 1942 ostatecznego przełamania "złej passy" i wkroczyliśmy w nowy okres: pasowania się z wrogiem na zasadzie równości, równych szans — po okresie krzywdzącej, a niekiedy upokarzającej niższości.

WESZLIŚMY W OKRES PRAWDZIWEJ WALKI

Do połowy 1942 wojna miała nadmiernie jednostronny charakter. Nosiła ona miano i znamiona tego, co język angielski określa słowami "fighting retreat"—odwrot w walce. Musieliśmy dokonywać odwrotu na wszystkich odcinkach od Singapora po El Alamein. Cofaliśmy się stale, a jeżeli przechodziliśmy do działań zaczepnych, to na zbyt krótki czas. Sukcesy nasze polegały na miszczeniu sił wroga, na wytracaniu jego sprzętu, jego załóg lotniczych i okrętów podwodnych, na zużywaniu jego siły, energii, rozmachu. Nasza strategia była defensywna, negatywna—cieszyliśmy się, że nie jest gorzej, że wróg nie uzyskał wielu rzeczy, które mógł może uzyskać, gdyby nie

był zaślepiony dumą i zbyt dufny, gdyby nie popadł nadmiernie w manię wielkości.

Innymi słowy: nasza cała taktyka do połowy roku bieżącego polegała na tym, ażeby męczyć wroga, ażeby cofać się przed nadmierną przewagą, ażeby nie dopuszczać do nadmiernych strat własnych, unikać bitew, któreby pociągały za sobą klęskę. Chociaż sami zmuszeni byliśmy nieraz do rozpraszania własnych sił, to jednak uzyskaliśmy również i rozproszenie sił wroga.

Największą zdobyczą naszą, największy nasz atut — to przez te ciemne i ponure nieraz chwile—wytrwałość, wiara, to świetny doprawdy stoicyzm narodu angielskiego, który zawierzył swojemu instynktowi i temu, że jednak — zdąży na czas. Raz jeszcze bezmiar Imperium Brytyjskiego okazał się doskonałym sprzymierzeńcem, jak i hart i dobre nerwy tego narodu. Dzisiaj, patrząc na wydarzenia wojny na szczyku roku 1942 widzimy, że jednak naród angielski mimo całego "muddle through", nieporadności wstępnej, zaskoczenia—prowadzi tę wojnę doskonale.

Nie dał się zastraszyć, nie dał się wprowadzić w zasadzki i pułapki, wyczekał na wejście USA, doskonale obliczył wytrzymałość Rosji, świetnie rozbudował RAF, uspaniał utrzymał władanie na morzach.

Z okresu znoszenia ciosów, który dowiódł niebywałego hartu, fizycznej wytrzymałości organizmu brytyjskiego, nieugiętej doprawdy wiary, że "wszystko musi być dobrze"—przechodzimy do okresu, kiedy na każdy cios odpowiadamy ciosem, kiedy zadajemy coraz więcej uderzeń i kiedy siła naszego ciosu wzrasta.

Dlatego rok 1943 będzie tak ważny, albowiem oglądać będziemy próbę sił między przeciwnikiem dalej jeszcze bardzo silnym — chociaż już podkopanym moralnie

i materialnie—a armiami naszymi na lądzie, na morzu i w powietrzu. Starcie będzie coraz pełniejsze, powierzchnia zderzenia coraz większa.

CO PRZYNIESIE ROK PRZYNSZESŁY?

Bawienie się w prorocтва nie jest zadaniem łatwym. Wszelkie przewidywanie co do trwania wojny należy traktować ostrożnie, albowiem—człowiek nie panuje nad losem. Każdemu zaleca się więcej skromności w tej mierze. Wiele znaków mówi, że Rzesza przejdzie przez poważny kryzys w roku 1943.

To pewne, że Rzesza nie uzyska wyniku w nadchodzącym roku w Rosji — a zatem nie uzyska go już wcale. Jej strategia forticy europejskiej jest strategią defensywną. Nie znaczy to oczywiście, ażeby Rzesza w defensywie nie była groźna, ażeby widoki dla ujarmionej Europy nie były przez to czarne. Wiemy, że wszelkie przeciąganie się wojny może powiększyć jeszcze wyniszczenie zasobów ludzkich Europy, podkopać byt fizyczny narodów podbitych. Wiemy, że trwanie wojny podkopuje także zasady ładu społecznego, że wszelkie prądy już nie skrajne, ale rozkładowe będą działać coraz bardziej w obrębie społeczeństw, że fermenty rewolucyjne będą coraz więcej zyskiwać głos.

To wszystko są znaki niepokojące, które każdy świadomy człowiek, Europejczyk, Polak musi brać pod uwagę. Musimy wierzyć w zwycięstwo, ale wiara oparta na: "jakoś to będzie" czy, jeszcze gorzej na: "wszystko jest świetnie", nie jest wiara—jest lekkomyślnością. Musimy nauczyć się powagi myślenia, która sprawia, że patrzy się na rzeczy nie tak, jak się nam wydaje i jak nam jest wygodnie, ale tak jak się one istotnie przedstawiają—abyśmy widzieli bezmierne trudności tej chwili i chwil przyszłych, opory, jakie los stawiać będzie interesom Polski i Europy, interesom kultury i ładu chrześcijańskiego.

Rok 1943 przyniesie pasowanie się na największą skalę i musimy być przygotowani na niejedną jeszcze cios. Ale będą to ciosy zadawane w walce, będzie to pełnia boju. Nasilać się on musi coraz to bardziej, przynosząc zdziwienie wojny lotniczej, jeszcze większą groźbę dla wielu krajów, jeszcze większe rozpetanie sadyzmu niemieckiego, jeszcze większy ucisk w Europie. Rok 1943 nie będzie pewnie rokiem ani łatwym ani pogodnym. Ale przyniesie on winien takie stanowiska i takie ośdośnienie, z których będzie można spaść na kontynent Europy, podsunąć się pod warownię niemiecką i uderzyć w nią. Jeżeli uda się nam to, będzie to bardzo wielki sukces. Od tego momentu do kresu wojny jest jeszcze kęs drogi, ale w każdym razie będzie to już—okres finishu.

London, dnia 22-ego grudnia 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

NASTĘPNY NUMER "POLSKI WALCZĄCEJ" UKAŻE SIĘ 8 STYCZNIA 1943 ROKU

Z tygodnia na tydzień

12 grudnia: gen. Sikorski przeprowadzał konferencje wojskowe w Waszyngtonie.

—Polskie dywizyjny myśliwskie brały udział w osłonie dwóch wypraw bombowych sił powietrznych Sprzymierzonych. Wszystkie polskie samoloty powróciły.

14 grudnia: Polskie dywizyjny bombowe w nocy z 13/14 brały udział w minowaniu wód nieprzyjacielskich. Wszystkie polskie samoloty powróciły.

15 grudnia: W nocy z 14/15 polskie dywizyjny bombowe minowały wody nieprzyjacielskie. Mimo

trudnych warunków operacyjnych wszystkie załogi powróciły.

—Izba Lordów powzięła w wniosek Lorda Elgina uchwałę, wyrażającą oburzenie z powodu zbrodni dokonywanych przez Niemców w Polsce oraz wyrażającą podziw dla niezłomnej postawy Polski i zapewniającą, że należąca kara za wszystkie zbrodnie będzie wymierzona. Minister Lord Selborne złożył w imieniu rządu oświadczenie, w którym m.in. zapewnił Polskę, że jej opór i walki, które Polska toczyła i toczy nie pójdą na marne i Wielka Brytania wykona swe zobowiązania wobec Polski.

16 grudnia: gen. Sikorski podczas śniadania "Overseas Press Club" w Nowym Yorku wygłosił przemówienie na temat bieżących zagadnień politycznych i wojskowych.

—W nocy z 15/16 polskie dywizyjny bombowe kładły miny na wodach nieprzyjacielskich. Wszystkie załogi powróciły.

18 grudnia: Kierownictwo Marynarki Wojennej podało do wiadomości, że nowoczesny kontrtorpedowiec O.R.P. "Orkan" rozpoczął służbę na morzu w ścisłej współpracy z "Royal Navy."

Rok 1942 kończy się, jak i poprzednie, pod znakiem marynarki i lotnictwa. Nie znaczy to oczywiście, aby wojsko na lądzie straciło coś ze swego znaczenia. Ale słynne przed wojną zdanie Mussoliniego: "o rezultatach nadchodzącej wojny stanowić będą marynarka i lotnictwo, podczas, gdy wojsko lądowe wykorzystywać będzie sytuację strategiczną, stworzoną przez te dwa czynniki"—znalazło w pełni swe potwierdzenie. Dziś właśnie sam Mussolini widzi, jak ciężko jest wojować, nie panując na morzu i w powietrzu. I nawet Goebbels—po wypadkach tulońskich oświadczył: "Przez zniszczenie swej floty Francja przestała istnieć jako państwo; nikt nie zechce zawiązać z nią przymierzy—my najmniej."

Operacje morskie ostatniego roku podzielić można na dwa wielkie teatry operacyjne: Atlantyku, z morzami: Śródziemnym, Północnym i Polarnym oraz Pacyfiku, od Aleutów do Australii. Poza tym szereg operacji miał miejsce na Oceanie Indyjskim oraz na morzach rosyjskich—Barentsa i Czarnym.

TEATR OPERACYJNY ATLANTYKU

Bitwa o Atlantyk trwa, przy czym nie obywa się bez strat Sojuszniczym. Nieprzyjacielskie okręty podwodne osiagają od czasu do czasu sukcesy większe nawet, niż lotnictwo, którego sferę działania ograniczyły bardzo brytyjskie patroly powietrzne. Rzecz jasna, że okręty podwodne działają przy każdej pogodzie i do tego z ukrycia, podczas, gdy samoloty—acz piorunująco szybkie—skrepowane są szeregiem czynników zewnętrznych, wynikających z samej ich struktury i pozbawiających lotnictwo możności trwania na strategicznych akwenach /obszarach morskich/.

Jednakże skoordynowana akcja floty brytyjskiej i amerykańskiej oraz lotnictwa, przyczyniła się w znacznym stopniu do osłabienia akcji nieprzyjacielskich okrętów podwodnych, przy czym podkreślić należy, że 850 okrętów i statków, tworzących ekspedycje desantową do Afryki północnej, przebyło Atlantyk bez strat. Głównym osiągnięciem flot Sprzymierzonych na Atlantyku i morzach przyległych jest więc utrzymanie otworem, przez cały czas wojny, morskich dróg komunikacyjnych i to na przekór nieprzyjacielskim usiłowaniom blokady.

Gdyby nie panowanie na morzach, Anglia nie mogłaby być zaopatrywana w sprzęt, żywność, surowce

strategiczne i ludzi, a tego rodzaju bazy, jak Malta, Gibraltar, Aleksandria byłyby oddawna stracone. Oczywiście nie byłoby wówczas nawet mowy o desancie Sprzymierzonych w Afryce, która stałaby się tym samym, domeną wojskową "Osi."

To samo powiedzieć można o konwojach polarnych do Rosji i o transportach Sprzymierzonych sił i sprzętu dookoła Afryki, któreby długi czas wiodła jedyna droga zaopatrywania Armii Nilu. Siły brytyjskie w Egipcie i na Bliskim Wschodzie byłyby bezpowrotnie stracone, gdyby Sprzymierzeni przestali walczyć na morskich szlakach komunikacyjnych.

Jaskrawy przykład, czym jest panowanie na wodach, mamy choćby na operacji na Wschodnim Śródziemnomorzu. Niemcy i Włosi, mimo zajęcia Krety przy pomocy lotnictwa nie zdołali ani wylądować w Egipcie, ani zablokować kanału Suezkiego ani zdobyć Malty czy Cypru, ani pomóc rządowi Vichy w Syrii. Ba—nie potrafili nawet poważniej przeszkodzić ewakuacji większej części wojsk brytyjskich z Grecji, morzem do Egiptu. Potwierdza to w zupełności doświadczenia uzyskane już na zachodnio-europejskim teatrze działań, że jeśli

marynarka słabo się czuje bez pomocy własnego lotnictwa /wywiad, osłona/, to lotnictwo bez marynarki jest tylko czynnikiem niszczeniowym, bez szerszych możliwości strategicznych. Bitwa powietrzna o Anglię świadczy o tym wymownie.

Dodać można, że pomimo braku własnej osłony lotniczej, pomimo poniesionych strat — marynarka zdołała jednak wywakuować wojska sprzymierzone z takich pułapek, jak Norwegia, Dunkierka i częściowo Grecja, a także zaopatrywać regularnie Malte poprzez kilka tysięcy mil morskich w sferze powietrznego panowania nieprzyjaciela. Wreszcie sowieckie bazy morskie w Kronsztacie i Batumie trwają, mimo fantastycznie niekorzystnego położenia strategicznego. Nieprzyjacielowi do zdobycia ich brak odpowiedniej siły morskiej oraz morskich środków transportowych.

TEATR OPERACYJNY PACYFIKU

Cyfry mówią za siebie. Gdy wybuchła wojna, flota japońska posiadała 270 wojennych jednostek pływających, amerykańska 371. Nalot japoński na Pearl Harbour pozbawił Amerykę na stałe czterech okrętów, w tym dwóch liniowych. Po roku

straty Japonii wynosiły około 100 okrętów, Ameryki 78.

Ale Stany Zjednoczone mają w budowie lub na wykończeniu ponad 400 okrętów i budują w ilości oraz tempie, którego Japonia nigdy nie będzie w stanie wytrzymać. Mimo utraty takich baz, jak Filipiny, Indonezja i Malaje—flota gwiazdzistej bandery nie dała się wyprzeć z szeregiem przestworzy Pacyfiku i przyjdzie moment, kiedy uzyska potencjał, wobec którego bandera wschodzącego słońca okaże się bezsilna.

Bazy australijskie i nowozelandzkie mają dziś wybitne znaczenie dla marynarki U.S.A., wyrównując utratę Singapora, Hong Kongu, Surabaji i Manilli, podczas gdy komunikacje nieprzyjaciela, rozciągnięte od wybrzeży japońskich, są niezmiernie dalekie i trudne. Na północy, mimo pewnych sukcesów japońskich, niebezpieczeństwo amerykańskie wisi wciąż nad Japonią, oparta o Alaskę i Aleuty.

Już akcja na Salomonach i Nowej Gwinei wykazuje w pełni, że wszystkie operacje lądowe są tu następstwem panowania na morzu i w powietrzu. To też—mimo strat poniesionych przez flotę U.S.A.—w miarę jak nowe okręty i samoloty budowa-

ne są w istic rekordowym tempie, sytuacja poprawia się z każdym dniem na rzecz Stanów Zjednoczonych. Tempa tego Japonia, ani żadne inne państwo "Osi" nie wytrzyma i dlatego położenie strategiczne zmieniać się winno stale na korzyść Sprzymierzonych.

Operacje na Oceanie Indyjskim są poniekąd funkcją albo operacji atlantyckich, albo operacji Oceanu Spokojnego. Od dłuższego jednak czasu, prócz działań okrętów podwodnych i korsarzy nieprzyjaciela, nie tam godnego uwagi nie zaszło. Punktem szczytowym były walki o Singapur, zatopienie "Prince of Wales" i "Repulse" przez lotnictwo japońskie oraz walki na morzach okalających Indie Holenderskie. Jak zwycięstwa te wyczerpały Japończyków świadczy fakt, że mimo upływu bardzo długiego czasu, flota japońska nie przedsięwzięła żadnej operacji w kierunku zachodnim.

U PRUGU NOWEGO ROKU

W dniu 7-go grudnia, podkreślając u samego szczytu roku znaczenie morskiej siły zbrojnej, Amerykanie spuścili na wodę nadpancernik "New Jersey" /56.000 ton, 9 dział 406 m/m/ na 18 miesięcy przed spodziewanym terminem. Równocześnie w różnych stoczniach spuszczone na wodę 2 lotniskowce, 7 kontrtorpedowców lub eskortowców i 4 okręty podwodne. Jest to dotychczas nigdzie niespotykany rekord dzienny.

W najbliższym czasie ciężar walk skupiać się będzie na wodach europejskich i afrykańskich /Atlantyk i Morze Śródziemne/. Od panowania na morzu zależą losy wyprawy afrykańskiej, a od niej z kolei los Włoch — "wspaniałego sprzymierzeńca" hitlerowskiego. Może niedługo już będziemy świadkami wielkich wydarzeń na wodach otaczających Italię. Jasne jest, że "Oś" musi dołożyć wszelkich starań, aby zneutralizować niebezpieczeństwo "afrykańskie", podczas gdy Sprzymierzeni muszą sobie zapewnić pełną swobodę działania zarówno w basenie śródziemnomorskim, jak i w komunikacji z tyłami.

W tym wszystkim Polska Marynarka Wojenna bierze liczebnie skromny, ale taktycznie wybitny udział, przysparzając chwały banderze Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, a świadcząc całemu światu o żywotnych siłach Polski Walczącej.

JULIAN GINSBERT

Wojna na morzu

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 30.X.1942—11.XII.1942

Lotnictwo myśliwskie		Lotnictwo bombowe	
Pewnych	1	Ilość wypraw:	Łączna ilość samolotów:
Osłona wypraw bombowych		68	383
Wymiatanie		Główne cele: Stuttgart, Essen, Mannheim i Turyn. Minowanie wód nieprzyjacielskich. Wymiatanie okrętów podwodnych. Bombardowanie żeluzgi nieprzyjaciela.	
Patrole dzienne i nocne			
Razem od czasu przybycia do Anglii do 11.XII.1942			
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela:		Łączna ilość samolotów:	
pewnych	497		4408



# Konkurs świąteczny "Polski Walczącej"

## WARUNKI KONKURSU:

W konkursie mogą brać udział wszyscy. Zadaniem każdego biorącego udział w konkursie jest możliwie szczegółowo opisać, co każde zdjęcie przedstawia. Opis poszczególnych zdjęć należy opatrzyć kolejnymi numerami.

Koperta z odpowiedzią winna zawierać: imię, nazwisko, adres oraz kupon upoważniający do udziału w konkursie, znajdujący się na stronie 16 niniejszego numeru. Odpowiedzi należy kierować na adres redakcji "Polski Walczącej": 5, Portugal Street, London, W.C.2, z zaznaczeniem na kopercie: "Konkurs."

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa z dniem 20 stycznia 1943 roku /data

stempla pocztowego/. Wynik konkursu będzie ogłoszony w numerze 4 "Polski Walczącej" z datą 30 stycznia 1943 roku.

Za poprawne rozwiązanie redakcja przyzna cztery nagrody:

I nagroda: bezpłatny 14-dniowy pobyt w Londynie /"Dom Żołnierza Polskiego" lub "United Nations Forces Club"—do wyboru/.

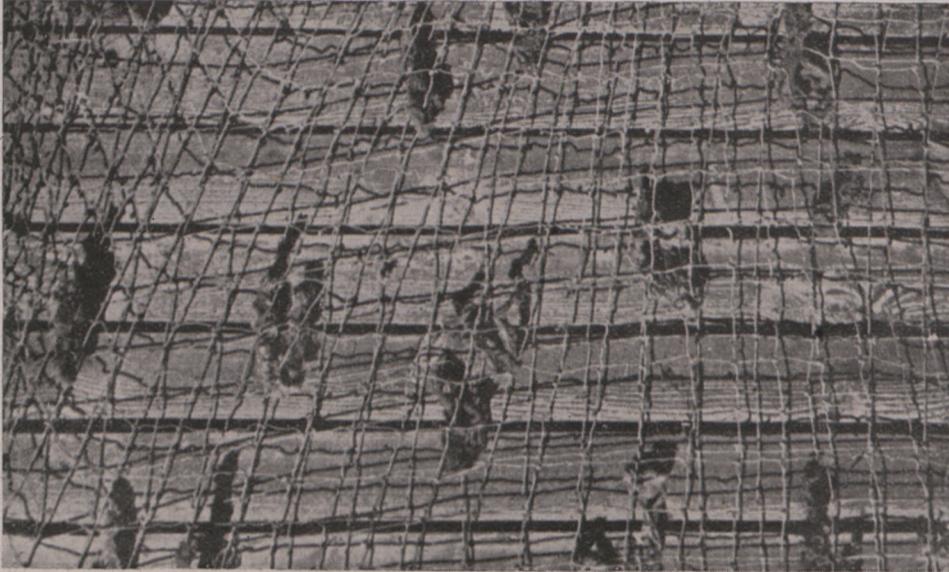
II nagroda: bezpłatny 7-dniowy pobyt w Londynie.

III nagroda: komplet "Chłopów" Reymonta /4 tomy/.

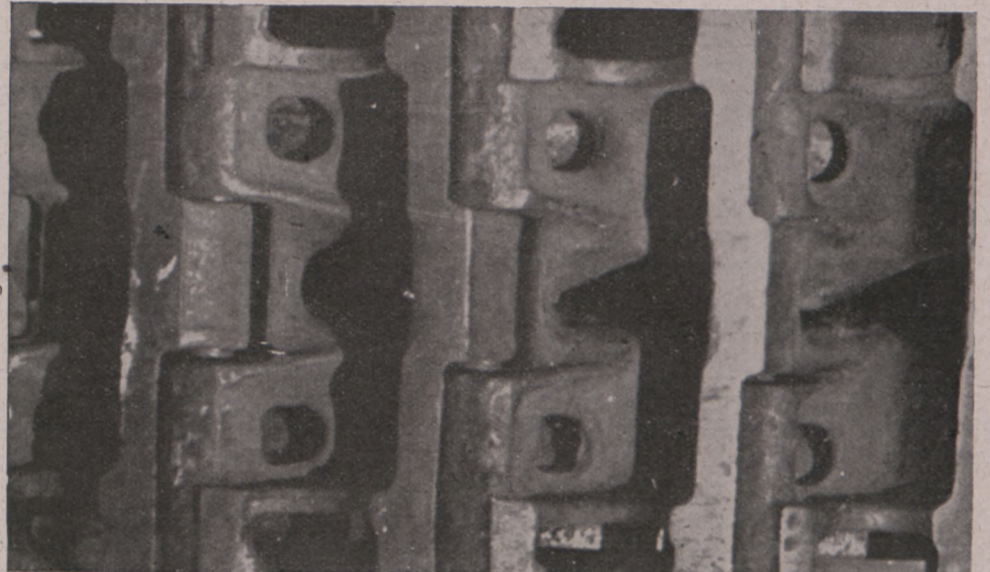
IV nagroda: półroczna bezpłatna prenumerata "Polski Walczącej."

W wypadku kilku jednakowo dobrych odpowiedzi przydział nagród nastąpi drogą losowania.

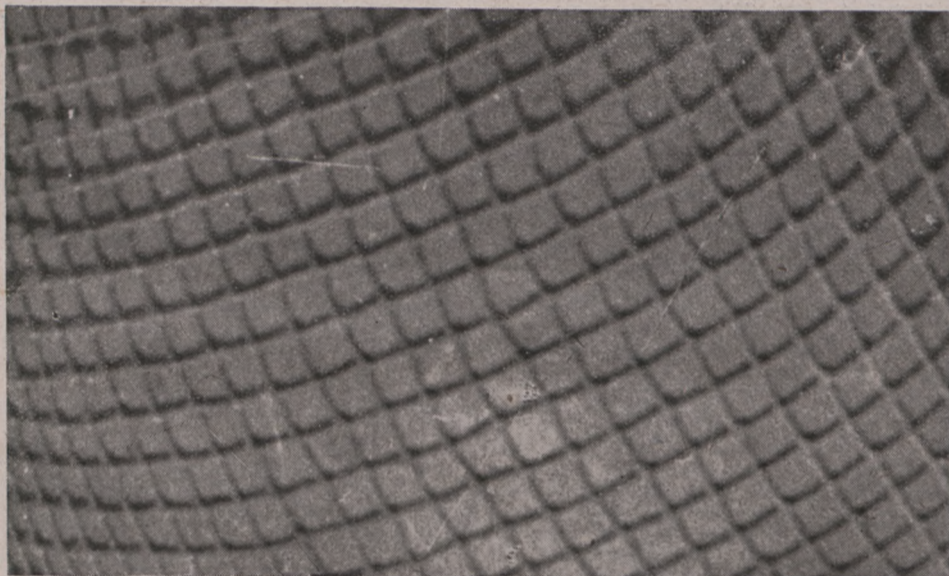
*fotografie Stefana Bałuka*



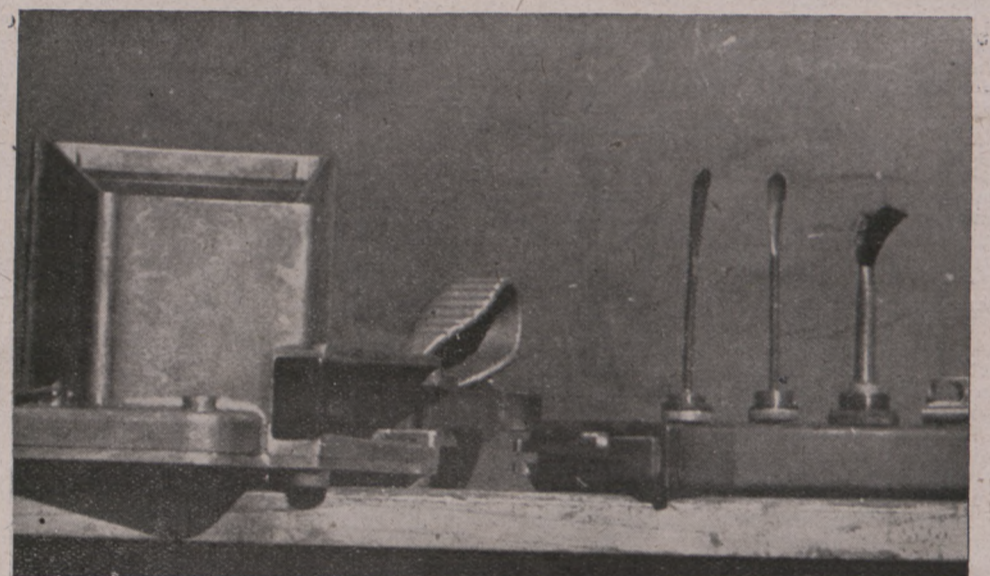
1



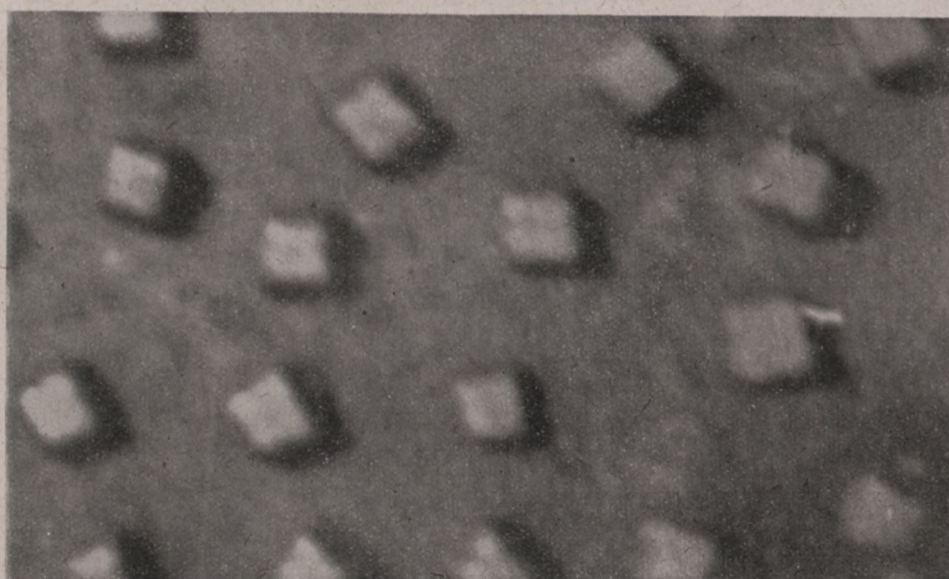
2



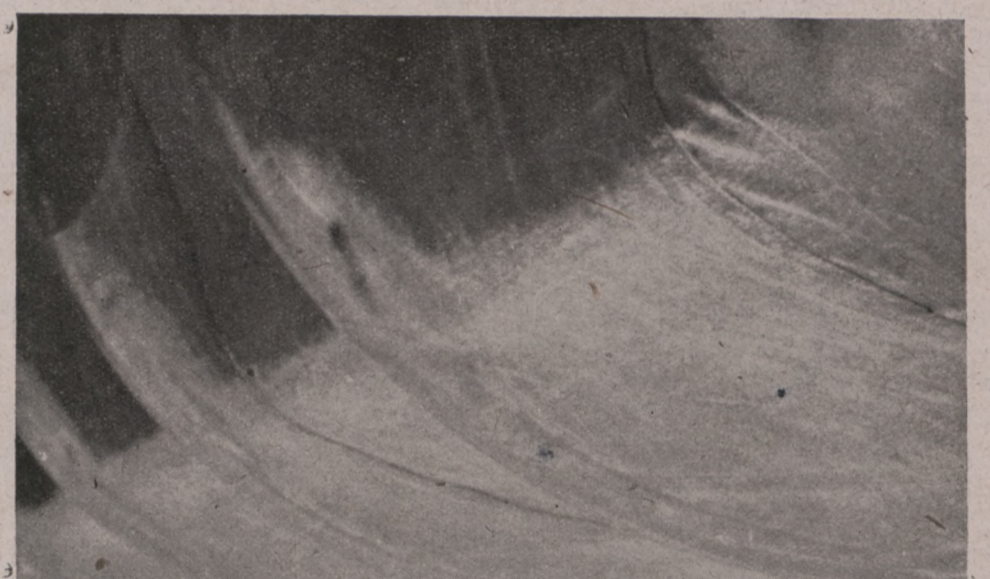
3



4



5



6



7



8



Gady pod cięgami,  
 Cięgi czyli razy,  
 Baty z obuchami,  
 Obcegi, rubieże,  
 Hydra, Aligator . . .  
 A teraz to szerzej  
 Omówi: nasz komentator . . ."  
 G. Wasz :  
 Słowo w słowo z "Dziennika Polskiego,"  
 Zostatem bez niczego.  
 Cóż wam powiem? Jest w tym jedna racja  
 Wspólny jest minister—wspólna Informacja.  
 /Wchodzi Toiowoszewski z ostatnią stroną  
 "Dziennika Polskiego"/  
 Toiowoszewski :  
 Co słyszysz? Pan z "Polskiego"?  
 Tytuł was tam siedzi,  
 że czasem wskutek tego  
 Czekaj się mocno biedzi.  
 Wiem, że pan jest . . . Argus  
 Nasz spec polityczny.  
 G. Wasz :  
 POCO długich targów?  
 Ja jestem. Faktycznie.  
 Toiowoszewski :  
 A który to Boryna?  
 To mnie zawsze nęka.  
 G. Wasz :  
 Na bródkę profesora się zaklinam:  
 Jam jest. To ta sama ręka.  
 Toiowoszewski :  
 Pan jest i Boryna. Proszę, proszę.  
 Prawie cały "Dziennik" zapelniasz  
 potrosze.  
 G. Wasz :  
 Ciszzej. Poufne ściśle.  
 Pomnij: rząd, ojczyzna . . .  
 Toiowoszewski :  
 Jeszcze coś. Niech pomyśle.  
 A ten . . . ten Gwasz—to który?  
 Niech mi pan to wyzna.  
 G. Wasz :  
 Ach, co za tortury!  
 Argus śmiałość ma.  
 Boryna ci powie:  
 Gwasz—to ja.  
 Toiowoszewski :  
 Argus, Boryna, Gwasz  
 Panie, pan mnie przerażasz.  
 A "Zet"—to kto?  
 No?  
 G. Wasz :  
 "K.Z."—to pan.  
 Lecz . . . "Zet"—to ja.  
 Toiowoszewski :  
 "Zet," Argus, Gwasz, Boryna,  
 Cała redakcja. Lecz jaka przyczyna?  
 G. Wasz :  
 Wielki polityk musi się ukrywać.  
 Praca. Reszta "off."  
 Toiowoszewski :  
 Przepraszam. Może pan jest Hinterhoff?  
 G. Wasz :  
 Szkoda zgadywać.  
 To dialog smorgoński . . .  
 Toiowoszewski :  
 A może . . . ?  
 Ojej. Może pan jest Stroński?  
 G. Wasz :  
 Nie. To już nie ja. Daję panu słowo.  
 Przy okazji gratuluję, świetne: "To  
 i owo"  
 Toiowoszewski :  
 Pan czytuje? Dziękuję.  
 Pewne zmiany będą wprowadzone:  
 Z ostatniej—przechodzę już na  
 pierwszą stronę.  
 G. Wasz :  
 Dlaczego?  
 Bądź pan szerszy,  
 Wszak to organ bratni.  
 Toiowoszewski :  
 Bo śmieli się na pierwszej  
 Zamiat na ostatniej.  
 /Wypływają w kierunku na Sardynię/  
 /Do szopki wchodzi Hemarian z kartka-  
 mi pamiętnika. Zbliża się do Puncta i po-  
 kazuje mu nową fraszkę/  
 Punct :  
 Co to?  
 Hemarian :  
 Fraszka nowa.  
 Śmieszna, ale z celem.  
 Punct :  
 Czyja?  
 Hemarian :  
 Moja.  
 Punct :  
 Ty też jesteś Punctinelle?  
 Hemarian :  
 Każdy dwór wszak ma trejniśnią  
 W swym królewskim gronie.  
 Punct :  
 Pan . . . na Kensingtonie?  
 Hemarian :  
 Jeśli puszcza . . .  
 Punct :  
 Wiesz czy pana?  
 Hemarian :  
 Rzecz już oceniorowana.  
 Chcesz? Postuchaj i podziwiaj.  
 Bo nie wolno nie podziwiać Hemariana.  
 Zaczynam:  
 "Nie sztuka, powiedział do mnie  
 Człowiek z opozycji,  
 Pisać takie satyry.  
 Lechząc rząd w ambicję.  
 A ja nie chcę, nie techcę,  
 Rząd mi dziurę wierce  
 I naciska osobiciem  
 Mr. Winston Churchill.  
 Prosi Władzio i Stasię,  
 Gabinet i Rada,  
 Jakoś więc tak pcha się,  
 Wciąż brydża odkładam,  
 Chcąc obraz mieć jaśniejszy.  
 Jeśli się mozołisz,  
 Zadzwoń sam do Polish  
 Ministry of Information.



Strzelam, biję, biczuje  
 Może mi zaszkozi?  
 Wciąż się sam dziwuję:  
 Jak mi to uchodzi? Jak mi to uchodzi?  
 Punct :  
 Jaki tytuł?  
 Hemarian :  
 Jeszcze nie mam  
 Wymyśle przy robrze.  
 Punct :  
 Myślę, że byłoby dobrze:  
 "Pochwała siebie samego."  
 Hemarian :  
 Nie chcę takiej przykrości  
 Dla Nowakowskiego.  
 Punct :  
 Masz w sobie wiele skromności . . .  
 Coś żołnierskiego!  
 Hemarian /prostuje się na "bacz-  
 ność" i śpiewa na nutę żołnierską/  
 Jak wspaniała nasza postać  
 Kiedy w słońcu Stratton lśni?  
 Miałem porucznika dostać,  
 Lecz Ksawery zabrał mi:  
 Ja wolę tu, niech inni tam,  
 Gry wojenne tutaj mam:  
 Idę w pik. Gdy braknie mi  
 To idę wprost do B.B.C.  
 /wychodzi defiladowym krokiem  
 "Bridge'gady Kartackiej"/  
 /W szopce wypływa na Łodzi  
 dyrektor gabinetowy Kwapiro/  
 Kwapiro /wiosłując parasolem  
 śpiewa na nutę "Barcaroli"/:  
 Łodzi cudna, której cień  
 Karierze naszej sprzyja.  
 Coraz wyżej jestem codziennie  
 Bo z miasta Łodzi ci ja.  
 /Punct cumuje go do brzegu szopki/  
 Kwapiro :  
 Towarzysz z Łodzi?  
 Punct :  
 Pan z Łodzi wychodzi  
 I am—z wyspy.  
 Kwapiro :  
 Anglik. Jaka szkoda?  
 Wziąłbym do ministerstwa  
 O, yes.  
 Gdyby jeszcze z P.P.S.  
 Gdyby jeszcze z Łodzi . . .  
 Punct :  
 Pan, jak widzę, jest dobrodziej . . .  
 Kwapiro :  
 Tu w Londynie cała Łódź:  
 Kolin, Rosenberg i ja  
 To miodź.  
 Ale starych nie naliczę  
 Tylko Tuwim w Ameryce.  
 Punct :  
 Pan żeglarzem? Rybolowcą?  
 Jak z tego wynika.  
 Kwapiro :  
 Czy żegluję? Jeszcze jak.  
 Z "Dziennika" do "Robotnika,"  
 Z "Robotnika" wprost w gabinet,  
 Taki rejs to nie są kpiny.  
 A czy łowią? Owszem tak,  
 Przez plecy lub pepeesem  
 Wytowilem "dyrektora,"  
 Może będę i prezesem.  
 Na żeglarzy przysła pora . . .  
 Punct :  
 Tak wysoko—niebezpiecznie  
 Może głowa się zakreć.  
 Kwapiro :  
 Lecz to nęci coraz więcej.  
 Prasa zbrzydła mi—ja prasie,  
 Trzeba więc się poddać passie.  
 Łodzi moja, chroń przed wirum  
 Haussa, haussa na Kwapiro.  
 /Wsiada do Łodzi i jedzie na niej w dal-  
 szym ciągu/  
 Punct :  
 Chowam się w dziurę. Clever jestem.  
 Bystry  
 Jeszcze i mnie wezmą przez pomyłkę  
 Do Polish Ministry . . .  
 /Do szopki wchodzi oryginalna para:  
 Zygmunt Pius czyli Stary, niosąc Mojżesz-  
 szową tablicę z przykazaniami a z nim Po-  
 rucznik Zeteserery, poseł z Bujdyszewa, ba-  
 wiać się słupkami granicznymi/  
 Zygmunt :  
 Kochany Zeteserery  
 Ach ty jesteś rodny,  
 Ty masz talent szczerzy,  
 Młody, płodny, modny.  
 Kochany Zeteserery.  
 Porucznik :  
 Zygmuncie Kochany  
 Podziwiam cię. Tyś hero.  
 Ta bitwa z Watykanem . . .  
 Cóż ja przy tym. Zero.  
 Zygmuncie Kochany.  
 Zygmunt :  
 Luby. Słyszalesz o nowym Kolina  
 wydaniu?  
 "Dziesięcioro przykazań"—w moim  
 opracowaniu.  
 Wprowadzam rewolucję na odcinku ośła

I nie ustąpię, żeby nawet Kuria protest  
 wniosła.  
 Porucznik :  
 Miły. Pamiętam. To było pewnie  
 w Bujdyszewie,  
 Siedzieliśmy z Wasilewym, z Wasią  
 Mordowiewem,  
 Na to wchodzi Gardielow z Popijewem  
 tłustym,  
 A ja mówię, że Bolek . . .  
 Zygmunt :  
 Który?  
 Porucznik :  
 Krzywousty.  
 że Bolek nie bez racji i nie bez kozery . . .  
 Zygmunt :  
 Kochany Zeteserery, zleż z tej polityki,  
 Taki jesteś zdolny, ale taki dziki.  
 Nie kocham takiego. Brzydki.  
 Porucznik :  
 Luby. Zrozum twój mój mój  
 Przecież ja urostem,  
 Wiele się zmieniło,  
 Wszak już byłem postem  
 I, jakby nie było,  
 Jestem oficerem . . .  
 Zygmunt :  
 Kochany Zeteserery,  
 A co ja? Do cholery.  
 Wszak wciąż toczą boje,  
 Przypomnę najważniejsze,  
 Przy nich błędny twój:  
 stały bój z cenzorem,  
 z Nagórskim juniorem,  
 walka z obiadamami  
 i samochodami.  
 Bitwa w sprawie kata,  
 narzędziów konfiskata,  
 teraz bój z biskupem.  
 Oto moje łupy.  
 A po Watykanie . . .  
 Porucznik :  
 Brak sensacji w planie?  
 Chcesz ożywić "Wiadomości,"  
 Szczęść skromności. Ja rozumiem.  
 Zwroć się do mnie.  
 Ja ci wyróżnę coś takiego,  
 że znów dźwignę Grydzewskiego.  
 Będą jedni: "Hanba" wolać,  
 Inni będą znów prostować.  
 Mam tytuł na serie nowe:  
 "Rosja przez okna hotelu"  
 I "Rosja przez stół bankietowy."  
 Chodźmy.



Zygmunt :  
 Dokąd?  
 Porucznik :  
 W kierunku . . . Alei milionerów.  
 Zygmunt :  
 Kochany. Powiedz prawdę szczerą,  
 Co znaczy ta zmiana tonu?  
 Porucznik :  
 Frontem do Kensingtonu.  
 Zygmunt :  
 Chciałbyś mnie . . . wziąć?  
 Porucznik :  
 Jak mawiał mój przyjaciel  
 Szmataławiewów:  
 "Trzeba w żagle w porę dąć."  
 Zygmunt /stopniowo mięknie/  
 Chodźmy. Właściwie to będzie normalne,  
 Właściwie nie miałem nigdy specjalnych  
 Kłopotów cenzuralnych.  
 Porucznik :  
 Od Narwiku co do oficerów odmienitem  
 zdanie . . .  
 /zerka na własne gwiazdki/  
 Zygmunt :  
 No widzisz, kochanie.  
 Grunt intencja.  
 Głos Kolina z przestworzy:  
 Trzymaj się Zygmus!  
 Papier i subwencja.  
 Zygmunt /bierze Porucznika pod  
 rękę/  
 Stałość przekonania  
 To przesąd starej, rzymskiej ery—  
 Prowadź Zeteserery.  
 /Wchłania ich mgła Kensingtonu/  
 /Do szopki wchodzi nowa para/  
 Snobpolski :  
 Mam recenzję w "Richmond Newsie" . . .  
 Protegopieni :  
 A ja wywiad w "Deli-Mieli" . . .  
 Snobpolski :  
 Moją wielkość uznać musisz . . .  
 Protegopieni :  
 Moją fotkę w "Dispatch" wzięli.  
 Snobpolski :  
 A więc zatem trafem takim  
 Spotkali się . . .  
 Protegopieni :  
 Najskromniejszy malarz . . .  
 Snobpolski :  
 Z najcichszym śpiewakiem.  
 Protegopieni :

Charaszo. Co słychać nowego?  
 Snobpolski /wyniośle/  
 Maluję Króla  
 Protegopieni /dumnie/  
 Króla śpiewaków? To znaczy sia mnie?  
 Snobpolski :  
 Nie. Króla perskiego.  
 /pokazuje obraz/  
 Protegopieni :  
 A hi! A gdzieś pan masz jego?  
 Taż to same plamy. Jakies kłębowski  
 Jej Bohu. Wsio rawno. Nie poznasz  
 i blisko.  
 Snobpolski :  
 To nowa szkoła: "Snobpolskizm."  
 Malarstwo szaradowe.  
 Głowa tam, gdzie ręka,  
 Noga zamiast głowy.  
 Kompozycja stosowana.  
 Protegopieni :  
 Niczego, proszę pana.  
 Ot ja nie rozumiem jednego twojego  
 obraza,  
 Jakies cienkie nóżki, kółka pan namazał,  
 Lepiej pan nie umie?  
 Snobpolski :  
 Mówią, że jestem Van Dyck  
 że ja drugi Goya . . .  
 Protegopieni :  
 Van Dyck—ja znalazł—fotograf był  
 w Warszawie.  
 Co do goja. Charaszo w tej sprawie:  
 Ja lubię z gojami.  
 Snobpolski :  
 A co myśli mistrz o El Greco?  
 Protegopieni :  
 W El-Greco nie byłem,  
 Pod El-Alamein walczyłem.  
 Miałem być pod El-Aghailą,  
 Lecz nie było jeszcze celu,  
 Do Londynu mnie wezwali . . .  
 Snobpolski :  
 Krzyż z mieczami panu dali  
 Protegopieni :  
 Sztury krzyży mam nadane . . .  
 Snobpolski :  
 A publika krzyż ma z panem.  
 Protegopieni :  
 A dlaczego? że przemawiam?  
 A ja gorszy, jak Kiepurza?  
 Polityki nie uprawiam,  
 U mnie lepszy dół, niż góra.  
 Snobpolski :  
 Niech pan stoi chwilę równo  
 Podszkicuje trochę mistrza . . .  
 Protegopieni :  
 Panie z tego wyjdzie . . . zero  
 Zamiast mnie—kryśka i zgłiszczca.  
 Snobpolski :  
 Niechaj mistrz się już nie gniewa.  
 Ja maluję. Proszę śpiewać.  
 /Snobpolski maluje, Protegopieni śpiewa na  
 nutę: "Burlaków"/  
 Protegopieni :  
 Ej, uchniem. Basem gruchniem.  
 Odnak rządy. Tam i tędy.  
 Śpiewał ja pod Tobrukiem w piasku tyż,  
 Śpiewał ja w Dorchesterze—więc jest  
 krzyż,  
 Oj w Amerycy Kiepurze zaświcy,  
 Z żalu spuchnie.  
 Ej uchniem.  
 Snobpolski /skończył malować/  
 No? Co?  
 Protegopieni :  
 A to kto?  
 Snobpolski :  
 Pan nie poznaje?  
 Protegopieni :  
 Widoczek z Rasieji, tak mi się wydaje?  
 "Powitanie szefa sztabu"?  
 Może . . . "Uliczka w Buzuluku"?  
 Snobpolski :  
 To przecież pan jest, mistrzu,  
 Pan. "Śpiewak Tobruku."  
 Protegopieni :  
 A te kryski, te rminy?  
 Te kropki, te chumy?  
 Snobpolski :  
 To żeby dobić jeszcze więcej samego  
 Kiepure.  
 Protegopieni :  
 Tak to co innego. Teraz już kapuję.  
 Może pan coś więcej w tym celu  
 namaluje?  
 Na przykład: ja na bombie czasowej  
 śpiewam arie z "Halki"  
 Snobpolski :  
 Chodźmy. Czas omówić problem:  
 "Malarstwo — jako środek walki."  
 Protegopieni :  
 Charaszo. Ot i takim znakiem  
 Pogodzili się: najskromniejszy malarz . . .  
 Snobpolski :  
 Z najcichszym śpiewakiem.  
 /Wychodzą/  
 /W szopce świta, ale w głowach nie.  
 Z dziury wylazi Punctinello, powraca wiatr,  
 który wiał na początku/  
 Punct :  
 Tyle wiatru, skąd ten wiatr?  
 Aż nasza "mist" rzednie . . .  
 Nawet wiatr swój w Anglii mają.  
 Tak! To naród przedni!  
 /Wiatr polski porywa angielską mgłę  
 i hula po szopce jak szalony/  
 Co też wam się śni?  
 Skąd sprawa gra i splot,  
 Gdy przed wami dziś taki długi lot—  
 To be or not to be . . .  
 /Puchacz odzywa się ponuro/  
 Punct :  
 Czy Punct z was dziś drwi?  
 Nie. Choć widzi zło,  
 Lecz zamyka drzwi—  
 Wraca w "Puppet-show" . . .  
 To be—or not to be.  
 napisał WIKTOR BUDZYŃSKI  
 rysunki w tekście  
 ANTONIEGO WASILEWSKIEGO





